

Alkohol a misja Polski

(napisane dla tych, co mają dużo na głowie i mało czasu, a nie jest im Polska obojętna)

„Cicha woda brzegi rwie...”

Co ma wspólnego alkohol z misją Polski? I co to takiego ta „misja”? Mesjanizm jakiś? Gdy przed laty brzegi Oceanu Indyjskiego nawiedziło fatalne tsunami (300 tys. ofiar) wydarzyły się dwa przeciwstawne wypadki. Pewna dziewczynka, która uczyła się w szkole o cechach fali tsunami zauważyła ją w porę, zaalarmowała turystów i wielu uratowała. Z kolei pewien radiooperator na jednej z wysp oceanu odebrał telegram o nadejściu tsunami, ale sądził, że to... przybywa delegacja z Japonii, więc wysłano samochód na lotnisko. Warto wiedzieć, co się naprawdę dzieje.

A co takiego „się dzieje”? Piszę ten tekst w czasie pandemii wiadomego wirusa. Pobieżne obserwacje sugerują, że pozostający w odosobnieniu Rodacy sięgnęli po „broń ostateczną” umożliwiającą przetrwanie izolacji – kupowali napoje alkoholowe. Może to nie mieć odbicia w statystykach, gdyż z drugiej strony zniknęły liczne okazje do towarzyskiej wypitki, a nie każdy lubi się „leczyć” samodzielnie. Zatem nie możemy jeszcze jednoznacznie powiedzieć, czy obrót napojami zwiększył się czy zmniejszył w tym okresie. Jednak samo w sobie zjawisko to dało się jakościowo zauważyć. Jednocześnie dyskretnie chowając się w cieniu. Nikt nie ośmielał się sugerować Rodakom trzeźwości w tak ciężkiej opresji. I to jest ta „cicha woda” z tytułu rozdziału. Czy rzeczywiście coś nasze polskie „brzegi rwie”?

Niedawno opublikowano moją monografię naukową „Propozycja dla polski: trzeźwość” (Wojcieszek, 2019). Jednak w przypadku dzieł naukowych nakład bywa niewielki (jest dostępna on-line za darmo, na stronie SWWS). Tam jednak można szukać wszystkich źródeł, dokładniejszych wykazów, naukowych danych itd. Tutaj chcę podzielić się z Czytelnikami „wiedzą bez przypisów”, pisząc jakby dłuższy esej. I syntetycznie odnosząc się do

poszczególnych kwestii. Mimo wszelkich wysiłków mało jest opracowań tego typu. Raczej nie piszą ich poważni naukowcy, nie chcąc być posądzonymi o uleganie zabobonom. Tymczasem nie mam wątpliwości, że takie opracowanie jest potrzebne. Postanowiłem nie nadawać temu tekstowi charakteru zbyt hermetycznego. Od tego jest wspomniana monografia, całkiem świeża. Przypisy będą tylko te najważniejsze, a źródła na samym końcu, aby lepiej się czytało. Zamierzam napisać coś, co dobrze się czyta i co oświeca Czytelników z podtytułu: takich od których wiele zależy, ale też troszczących się o Polskę. Znam takich poważnych i znaczących ludzi, którzy z różnych powodów nie zauważają, że coś (alkohol) nasze brzegi rwie (czyli osłabia Polskę). Dla nich to piszę, chociaż cieszę się z każdego Czytelnika, również tego bardzo skromnego, który ma niewiele na głowie, a czasu w bród. Może to jego Opatrzność wyznaczyła na jakiegoś naszego Frodo Bagginsa, hobbita, co uratował świat? Kto wie jak wiele mogą zdziałać małuczcy i cisi. To im obiecano, że posiadą ziemię (Kazanie na Górze). Zatem muszę pisać i dla ministra, i dla zacnego emeryta.

I na początek jedno wyjaśnienie dwu zasadniczych spraw. **Nie będzie tu propozycji prohibicji. I nie będzie głównie o alkoholikach, o uzależnieniu.** Owszem, będzie i o alkoholikach, ale nie w roli głównej eseju.

Dlaczego nie prohibicja? Słyszymy: „alkohol jest dla ludzi”, co niekiedy brzmi jak jakaś deklaracja ogólnej konieczności jego spożywania. Tymczasem – konieczności spożywania nie ma. Obecnie na świecie aż 57% ludzi starszych, niż 15 lat, nie spożywało w ciągu ostatniego roku żadnego napoju alkoholowego (Global status report on alcohol and health 2018, WHO). Na świecie dominują faktyczni abstynenci. Naprawdę nie musimy spożywać produktów na bazie etanolu, to nie jest witamina. Nie musimy, ale może... chcemy? Spożywanie napojów alkoholowych mieści się w kręgu naszej wolności. Co więcej, większość ludzi spożywających napoje alkoholowe czyni to w bardzo odpowiedzialny sposób, zazwyczaj nie przekraczając różnych naukowo sformułowanych norm (są takie „reguły rozsądnego picia”). Około ¾ polskich konsumentów tak czyni. Zatem w czym rzecz? O co chodzi, skoro jest tak świetnie?

Chodzi o to, że za tymi optymistycznymi danymi ukrywa się owa „cicha woda”, którą trzeba koniecznie zidentyfikować, rozpoznać. Muszą to rozumieć zwłaszcza ci z nas, którzy „mają dużo na głowie”, wszyscy decydenci: od małego urzędnika do ministra, od asystenta do profesora, od asesora do sędziego, od kaprała do generała.

A co do alkoholu etylowego, to w tym tekście zakłada się, że jest i będzie obecny w ludzkiej kulturze praktycznie do końca świata. I pisze te słowa człowiek, który osobiście jest

całkowitym i dobrowolnym abstynentem alkoholowym od 47 (49*¹) lat i który miałby powody do sugerowania świata całkiem wolnego od alkoholu. Doskonale wiem, jaki kąśliwy może być alkohol, gdyż mój ojciec był uzależniony i wiele z tego powodu wycierpiałem. Mimo to, sam będąc dobrowolnym abstynentem, nie sugeruję ogólnej prohibicji. I nie dlatego, że była w USA mniej skuteczna, niż oczekiwano. Jeśli w tym tekście pojawią się wezwania do różnych ograniczeń rynku alkoholowego, to nie oznaczają one promocji prohibicji. Napoje alkoholowe mają prawo istnieć w ludzkiej kulturze. Ciekawe pod tym względem jest rozsądne, stateczne stanowisko Kościoła. Zalecając dobrowolną abstynencję nigdy nie postulował przymusowej prohibicji, z wielu powodów. Głównie z tego powodu, że ludzie Kościoła zazwyczaj dobrze rozumieją rzeczywistość, która ich otacza, a zwłaszcza ponieważ nie dostrzegali woli Boga w takim radykalnym rozwiązaniu (Cook, 2006). I ja nie dostrzegam, ku niezadowoleniu wszystkich zwolenników prohibicji (bo nadal tacy są i to stosunkowo wielu, znam takich i mają mi to stanowisko za złe).

Druga sprawa jest bardziej złożona. Czemu nie mamy się zająć osobami uzależnionymi, alkoholikami? Owszem, będziemy się nimi również zajmować, ale nie stawiamy zjawiska uzależnienia w centrum wydarzeń. W nauce istnieje tzw. *paradoks prewencyjny*, który głosi, że większość szkód alkoholowych w danym społeczeństwie nie jest powodowana (czy związana) z osobami uzależnionymi, ale z nadmiernie pijącymi (Danielson i wsp., 2012). Na każdego „alkoholika” przypada co najmniej 3 ludzi pijących nadmiernie (ryzykownie, szkodliwie). Nawet jeśli u niego (u alkoholika) te szkody są dramatyczne, to suma tych szkód, których autorami lub uczestnikami są ludzie po prostu nieumiarkowani, jest wyraźnie większa.

Główny temat społeczny to kwestia nadużywania alkoholu, a nie alkoholizm, który jest tylko jednym z wielu skutków nadużywania. Większość nadużywających zapewne się nigdy nie uzależni, ale ich picie i tak powoduje ogrom strat. Nawet większość strat! Tak głosi nauka. Nie mam powodu, aby jej nie słuchać, skoro formalnie jestem również badaczem (taką mam aktualnie umowę o pracę jako uczelniany profesor). Tym bardziej, że zainteresowanie alkoholikami często służy za parawan obronny dla nadużywających. Pytają: czy jesteśmy uzależnieni. Nie? No to o co chodzi? Pijmy dalej. Wiele razy miałem tego rodzaju pytania i dialogi.

¹ Książkę pisałem, gdy to było 47 lat. Długo leżała w magazynie.

Popadanie w uzależnienie to pewien proces. Trochę trwa, trzeba mieć określone czynniki ryzyka popadnięcia w uzależnienie. Nie wszystkich dotyczy ten problem. W Polsce jest to ok. 4 % męskiej dorosłej populacji (jak się to „zagęści” do pewnych kategorii, to wychodzi najwyżej co 7 mężczyzna z grona bardzo aktywnych konsumentów napojów alkoholowych) (Global Report WHO, 2018, s. 281). Nadużywanie jest o wiele, wiele częstsze. W pewnych okolicznościach może dotyczyć nawet ponad 60% populacji (jeśli brać pod uwagę różne alkoholowe „wpadki”, które według specjalistów są już nadużywaniem, incydenty upijania się). Ocenia się, że tych poważnie nadużywających jest ok. 12 - 15 % wszystkich dorosłych. To wystarczy, aby zakłócić naszą polską misję. W pewnym sensie jawni, widoczni uzależnieni od alkoholu tej misji... nie zagrażają w takim stopniu, jak „pijacy”, ponieważ ich dostrzegamy, oni stale nas boją. To nie jest „cicha woda”, to jawna, otwarta, bolesna rana. Jakies 600 tysięcy polskich obywateli, którzy uwikłali się definitywnie. Codziennie jacyś nowi dochodzą do tej grupy z grona ok. 2 - 3 mln nadużywających. Ale to działanie nadużywających, ich styl życia jest sednem problemu. Tym większym, im więcej „na głowie” ma osoba nadużywająca, im jest ważniejsza. Może warto się dowiedzieć czy Szanowny Czytelnik (lub Czytelniczka, co rzadsze) nie jest w tej najgroźniejszej dla życia społecznego grupie? Mam dobrą wiadomość: osoba nadużywająca może stosunkowo niewielkim nakładem sił poprawić swoją sytuację. Zazwyczaj nie wymaga leczenia. Ma nadal w swoim własnym ręku wszystkie karty. Tylko musi się dowiedzieć, że tak trzeba, że warto... I podjąć przemianę stylu życia na bardziej konstruktywny. To wystarczy.

W swoim dość już długim życiu miałem wiele do czynienia z ludźmi na społecznym świeczniku. Licznymi i różnymi, zazwyczaj bardzo ciekawymi. Wielu z nich byłbym w stanie zakwalifikować jako ewidentnie nadużywających napojów alkoholowych. Bycie na świeczniku ma kilka cech: jest stresujące, zapewnia względną bezkarność w razie problemów, zapewnia większe środki pieniężne. A nawet niekiedy pozwala pić całkiem za darmo. Przez pewien czas brałem udział w życiu dyplomatycznym, zdarzały się bankiety czy rauty. Byłem już wtedy abstynentem, a na stołach lub kelnerskich tacach figurowały trunki z najwyższej półki. Mogłem pić dotąd, dopóki pozostawałem w kontakcie z moimi gośćmi. Całkiem za darmo. Gdy okazało się, że nie piję wcale, zostałem wezwany przez mojego zwierzchnika i złajany z tego powodu. Otworzył książkę pod tytułem „Protokół dyplomatyczny” i wskazał mi odpowiedni rozdział. Nie zmieniłem zwyczajów, ale ta sytuacja ukazała, co by było, gdybym był „normalny” i pił. Miałbym otwarty barek i dobre alibi. Wielu z tego korzysta. Ostatnio pewien wysokiej rangi urzędnik chciał mnie docenić wspólnym drinkiem. Uchyliłem

się. Ale przy okazji obejrzałem zawartość jego barku. Przeciętny podatnik złapałby się za głowę. Było na co popatrzeć. Ludzie ze społecznego świecznika uważają, że im się to należy, że to fragment normalnych przywilejów władzy (tzw. cele reprezentacyjne). Nie rozumiałem o co chodzi, dopóki kiedyś nie znalazłem się w sytuacji, gdy dysponowałem sekretarką i samochodem z kierowcą (zdarzyło się, na szczęście na krótko, bo to psuje). Praca na świeczniku to naprawdę ciężka praca. Doświadczyłem tego parę razy (dyrektor x 4, kierownik x 2, redaktor naczelny x 1, rektor x 1 itd.). Wtedy: haruje się... Czy zatem może dziwić, że ktoś, kto pracuje na bardzo wysokich obrotach pomaga sobie w ten sposób? Ba, znam gorsze sposoby radzenia sobie z kierowniczym stresem (np. seksoholizm, przemoc, intrygi). Elity społeczne są z natury rzeczy w kręgu wyższego ryzyka doświadczania skutków swoich niebezpiecznych zachowań. Czy może dziwić, że aż 5 z 8 amerykańskich laureatów literackiej nagrody Nobla było znanych z problemów alkoholowych? Wielu skróciło to życie. Pili? Pili, a po Noblu nawet mieli znacznie więcej okazji. Niektórym skracało to i życie, i karierę literacką. Przystawali pisać. Ciekawscy mogą oddać się stosownym poszukiwaniom. Dość łatwym zresztą.

I. Misja Polski rozumiana pragmatycznie.

„Pan Samochodzik na tropie...”

Jesteśmy już na tropie pierwszej pułapki. Pijane elity mogą w różny sposób „przepić” misję Polski. Nie muszą i zazwyczaj nie są to ludzie uzależnieni, chociaż i tacy w tym gronie bywają. Jeśli jednak teraz skupię się na ich problemach gotowi są... zaprzestać czytania. A zatem lepiej odłożyć to na nieco później, gdy już uda mi się zainteresować przedstawicieli elity. I porozmawiać o misji Polski. Co to takiego jest, ta misja?

Można spoglądać na Polskę rozmaicie. W obecnej kulturze chyba dominuje spojrzenie akcydentalne. Oto jest sobie jakaś grupa plemion powiązanych biologicznie (z jednej matki czy ojca, bliscy genetycznie), która przypadkiem wybija się historycznie, tworzy naród zakorzeniony w kulturze i wspólnej historii. Zwykle konieczne jest państwo ogarniające ten żywy organizm. Ponieważ dziś mamy do czynienia z dużym materializmem w ujmowaniu poszczególnego człowieka i ludzkich wspólnot, to wszelkie inne ujęcia są w mniejszości, zwłaszcza takie, które opierają się na jakimś duchowym aspekcie życia. Część z nas spogląda na Polskę jako na przejściowy twór stanowiący jedynie ramę dla biologicznego funkcjonowania pewnej podgrupy europejskiej populacji gatunku *Homo sapiens*. I tyle. Nie

ma wtedy mowy o żadnej misji, chyba, że będziemy przez nią rozumieć imperatyw (rozkaz) trwania i rozmnażania się, charakterystyczny dla wszystkiego co żyje. Pewien artysta ujął to tak:

„Mała mysz, a chce tyż ...”

Jeść, spać, kopulować, pracować, bawić się i tyle. Z takiego punktu widzenia „Polska” to tylko akcydens, przypadłość, przypadkowa skorupka dla określonej grupy ludzi powiązanych historycznymi przypadkami. Polska to przypadek, zatem nie jest to coś ważnego. Jej istnienie nie ma obiektywnego sensu. Jest tylko przypadkiem, jak inne podobne zrzeszenia. W końcu jesteśmy zwierzętami stadnymi...

Wielu Polakom pod zaborami zdarzało się w to uwierzyć, i gdy rozpoznawali, że gdzieś indziej są lepsze szanse życia czy rozwoju, to wybierali przenosiny. Czasem faktyczną emigrację, czasem tylko wewnętrzną, ale związaną z uwolnieniem się od powiązań z tą jakąś tam Polską. Zdumiałem się, gdy się dowiedziałem, że to część historii rodzinnej potężnej osoby, kanclerza Niemiec², którego dziadek podobno był Polakiem, ale emigrował, zmienił nazwisko, stał się częścią narodu niemieckiego. Zapewne nie było to łatwe, ale rezultat owszem, owszem. Wielu trafiało do europejskich elit. Jest rzeczą dość naturalną taka swoboda, nawet zawarta w zbiorach praw człowieka. Mamy prawo stawać się kimś innym. Podobno żaden naród nie żyje w tym samym geograficznym miejscu, które było jego kolebką. Zmieniamy się. Nic nie musimy. Nie musimy dbać o Polskę. To kwestia wyboru. Natomiast: możemy. Czym jest Polska i czy ma jakąś misję? Czy warto o nią dbać? O nią i o jej ewentualną misję?

Od misji do Polski.

Kierunek dociekań jest zwykle taki: „czym jest Polska” i potem „jaka jest jej misja”. Tymczasem można i odwrotnie – odnaleźć misję i potem zrozumieć Polskę. Spróbujmy od tej nietypowej strony. Najpierw żartem wziętym z Boya – Żeleńskiego (*„Pieśń królowej Jadwigi”*):

Ofuknie ją Jagiełło:

Ja wiekopomne dzieło

Sposobię,

² Celowo ukryłem kogo. Proszę szukać.

I zrobię,
Wyperswaduj sobie!
Zrozumże, moja śliczna,
Że misja historyczna
To karta
Niestarta,
Paru guzów warta!
K. Boy – Żeleński, *Pieśń królowej Jadwigi*, Słówka, 1907

Misja „paru guzów warta...” Gdy spojrzymy na miejsce Polski w konstrukcji europejskiej, to zauważymy, że nie jest to kraj, który można zignorować. Przede wszystkim ma wspaniałe położenie, zarazem znaczące i wielce kłopotliwe. W Europie wszędzie stąd blisko. Ileżby dali np. Niemcy albo Rosjanie, aby Polski tutaj nie było. Oczywiście Polski silnej, podmiotowej, w miarę samodzielnej. Bo słaba, chwiejna, skolonizowana – czemu nie? Dla tzw. geopolityków znaczenie centralnego położenia Polski w Europie jest oczywiste. Kto trzyma „skrzyżowanie”, ten trzyma kontynent. Oczywiście w obecnych czasach, gdy Europa wchodzi w fazę zmierzchu swego globalnego znaczenia nawet tak szczególne położenie nie jest już tak zasadniczo ważne, jak kiedyś. Podobnie z powodu zmiany środków komunikacji. I osłabienia Europy jako takiej. Centrum świata przeniosło się już na inne tereny. Na plan pierwszy wysuwają się liczne nowe mocarstwa, ale nie jest to już ani Rosja, ani Niemcy, ani Francja czy Wielka Brytania. Typowy „zmierzch bogów”. To się już raczej nie zmieni. Ale w skali Europy nadal nasze położenie jest znaczące. Niby taki prosty fakt, widoczny po jednym spojrzeniu na mapę Europy. Różne polskie gminy kłócą się, gdzie jest „pępek” Europy. Bo to zawsze jakaś atrakcja. Może ktoś przyjedzie i zostawi parę groszy... Upierają się przy tym, że ten pępek jest tutaj, nad Wisłą. Nawet jeśli byłby gdzieś na Białorusi czy w Brandenburgii, to nie ma znaczenia. I tak widać, że leżymy na skrzyżowaniu dróg z południa na północ i z zachodu na wschód. Powiem prosto: w takim miejscu zachować podmiotowość, istnienie, tożsamość mogą tylko mocni (no, względnie mocni). Nikt inny. Trzeba mieć mocne łokcie, aby odpychać tych, co się pchają i zawsze będą się tutaj pchać. „Łokcie” nie muszą być ściśle i wyłącznie militarne, mogą mieć naturę demograficzną (obecnie słabo!), gospodarczą (jako – tako), wreszcie kulturową (tzw. „soft power”). W naszej tysiącletniej historii korzystaliśmy z nich wszystkich. Wszystkie razem sprawiły, że na razie nie daliśmy się stąd odepchnąć, chociaż nas nieco „poprzysuwano”.

A zatem trwać, po prostu trwać w tym miejscu. Trwanie oznacza społeczną homeostazę: następstwo pokoleń i podstawowe zasoby. Można, śladami współczesnego materializmu potraktować misję Polski bardzo trywialnie, jako stałe dążenie do trwania pewnego społeczeństwa obecnie posługującego się językiem polskim z grupy zachodniosłowiańskiej (szerzej: indoeuropejskiej). Podobnie jak stadne zwierzęta mamy „trzymać” to terytorium, które nas żywi i proporcjonalnie do możliwości mnożyć się, aby kolejne pokolenia zastępowały starsze. To perspektywa niemal biologiczna (bo kultura ma w tym modelu niewiele do powiedzenia, tylko trochę jako jedno z narzędzi ewolucji). Możemy zacząć przegląd sytuacji od takiej najprostszej misji: żyć, mnożyć się, nie dać sobie odebrać zasobów. Co dla tak rozumianej „misji” może być ważne i w czym może jej przeszkadzać nadużywany alkohol?

Ten prosty model opiera się na prostych mechanizmach sprawnej demografii, sprawnej gospodarki, sprawnego wojska, sprawnej służby zdrowia. Zaczniemy od wojska, skoro przyszło nam żyć w miejscu „ciągłych przeciągów”. Tutaj sprawa jest oczywista. Z jednej strony alkohol podkopuje sprawność wojska, a z drugiej.. stanowi jego stały element. To dziwny paradoks, ale wedle wielu badań mężczyźni, którzy pełnią jakąkolwiek wymagającą służbę w formacjach mundurowych (żołnierze, policjanci, strażnicy) spożywają znacznie większe ilości napojów alkoholowych, niż ogół cywilny. Jest trochę różnych przypuszczeń dlaczego tak się dzieje, łącznie z analizą obrazu męskości zainteresowanych, ale gdy badano w Wielkiej Brytanii wojsko przed operacją „Pustynna burza”, to okazało się, że zawodowi wojskowi znacznie przekraczają limity picia. Nawet brytyjskie kobiety – żołnierki piły więcej i częściej, niż cywilni mężczyźni. Około 2/3 z grona 10 tys. badanych (duża próba) miało przekroczenia w testach przesiewowych czyli jakiś rodzaj problemów alkoholowych. Większość nie była uzależniona, ale różne problemy alkoholowe istniały w ich życiu. Spełniał się „paradoks przewencyjny” w klasycznej postaci. Może zatem trzeba się z tym po prostu pogodzić? Uznać, że „wojsko tak ma i nikomu nic do tego”. Jestem innego zdania. Dokładna analiza wpływu substancji psychoaktywnych na sprawność wojska pokazuje, że im trzeźwiejsze, tym sprawniejsze. W czasie II wojny światowej najsprawniejszymi bojowo polskimi żołnierzami byli harcerze z grup dywersyjnych, legenda tamtych zmagania. A wszyscy byli abstynentami, jako harcerze. Traktowano to poważnie. Gdy wybuchło powstanie ten styl życia miał jeszcze większe znaczenie. Zachował się specjalny rozkaz władz AK, grożący karą śmierci za pijaństwo na powstaniowym froncie. Coś musiało być na rzeczy, takich rozkazów nie wydaje się ot tak sobie. Posiadanie oddziału, którego żołnierze zawsze są

trzeźwi miało duże znaczenie militarne. Oczywiście bywają wyjątki i ktoś z kombatanatów wspomni, że widział jak jakiś harcerz – żołnierz pije. Nie o wyjątki tu chodzi, ale o zasadę, której się trzymali.

Miałem kiedyś ciekawą przygodę. Prowadziłem zajęcia profilaktyczne wśród żołnierzy jednostki, która wzięła sobie za patronów słynny „Parasol” czyli harcerskich prekursorów obecnych komandosów. Uczestnicy nie zdawali sobie sprawy, że to byli abstynenci alkoholowi, jako harcerze. Jak to się stało, że tego im nie mówiono podczas zajęć wychowawczych? Domyślam się powodów, ale byłem tą niewiedzą trochę zdumiony.

Jeśli żołnierzy karmi się substancjami psychoaktywnymi w walce, to tylko wtedy, gdy traktuje się ich jako przysłowiowe „mięso armatnie”. Owszem, nierzadko tak postępowano w różnych armiach, dla opanowania śmiertelnego lęku walczących. Metoda „*stakan wodki i w pieriod*” była popularna podczas wielkich ofensyw. Ale na takiej samej zasadzie jak „metoda” szybkiego pokonywania pól minowych. Podobno na jakimś raucie po kapitulacji Niemiec amerykański dowódca zapytał swego kolegę - alianta, jaką metodą jego żołnierze tak szybko pokonywali pola minowe przeciwnika. Usłyszał, że podwajali normatywy, zamiast puszczać sto osób na dany odcinek puszczały dwieście. Gdy część wyleciała na minach teren był bezpieczny dla pozostałych. Nie wiem czy ta anegdota jest prawdziwa, ale wydaje mi się, że podobne praktyki panowały historycznie w wielu armiach. W ten sposób niszczone własne zasoby tzw. siły żywej. No cóż, jeśli ktoś ma duże zasoby...

Używanie substancji psychoaktywnych, choć bardzo rozpowszechnione w wojsku na całym świecie zawsze je osłabia. Przykładów jest bez liku. Chętnie przytaczam perypetie Aleksandra Macedońskiego, który zapił się na śmierć, co spowodowało rozpad jego wielkiego państwa. Na nic się nie przydały przestrogi jego wspaniałego nauczyciela, Arystotelesa. Radził on, aby Aleksander był umiarkowany. Uczeń, choć chętnie korzystał z wielu rad Arystotelesa, tę akurat odrzucił. Ceną za tę decyzję i imprezowy styl bycia była utrata młodego życia, rozpad imperium i seria wojen domowych po nagłej śmierci Aleksandra (tzw. wojny diadochów).

W naszej historii odpowiednikiem wielu wojskowych pijusów był generał Świerczewski („Walter”), który zamiast skutecznie dowodzić bitwą pod Budziszynem, tego popijał³ (i spał,

³ Podstawowym obowiązkiem adiutanta Świerczewskiego było przeniesienie w metalowym kubku alkoholu. Generał wypijał pół kubka spirytusu i dopiero po tym nawiązywał kontakt z otoczeniem - opisuje obrazowo dr

bo alkohol usypia). W ostatnich dniach wojny kosztowało to życie wielu tysięcy polskich żołnierzy z II Armii. Zwykle bardzo młodych chłopaków z poboru, nieostrzelanych. Skłonność do pijaństwa generała była bardzo znana, więc Rosjanie wręczyli mu pisemny rozkaz z kolejnością działań w ramach ofensywy, lecz on te wskazówki zlekceważył. Ponieważ planowano ustawić go jako komunistycznego wodza Polaków, to ten blamaż zignorowano. Niejeden po czymś takim trafiłby pod ścianę, jego zaś... nagrodzono awansem. Są też hipotezy, że to notoryczne pijaństwo generała przyspieszyło jego nagłą śmierć w Bieszczadach. Nie musimy się bawić w historyczne badania tych okoliczności. Był to jawny „antyprzykład” sprawności bojowej osłabionej etanolem. Ktoś może jednak powiedzieć, że może dobrze się stało, że otrzymaliśmy innych włodarzy z nadania ZSSR, niż generał Walter („człowiek, co się kulom nie kłaniał”). Może i tak... Wpływ alkoholu bywa ambiwalentny.

W tej sprawie przytoczę jeszcze trzy przypadki. Pierwszy pochodzi z XIX wieku, z Chin. To potężne państwo słabło. Gdy w XIX wieku doszło do tzw. wojen opiumowych z europejskimi mocarstwami (głównie z Brytyjczykami) o monopol na lukratywny handel opium (tak, tak – państwo królowej Wiktorii zajmowało się „dilerką”), to okazało się, że wielu dowódców i żołnierzy chińskich nie może walczyć, bo są już uzależnieni od różnych substancji. Podobno to była istna plaga. Chińskie wojsko na łopatkach. Ostatecznie rozstrzygnęła lepsza europejska broń i taktyka, ale ten element miał znaczenie dla przebiegu wojen opiumowych – znacznie osłabił Chiny.

Drugi przykład też pochodzi z historii pewnego imperium, mianowicie USA. Historycy donoszą, że w pewnym momencie plaga pobierania substancji (alkohol, narkotyki) przez walczących w Wietnamie żołnierzy amerykańskich spowodowała, że więcej z nich lądowało w szpitalach z tego powodu, niż z powodu ran odniesionych w walce. Takie wojsko „półżywe”.

I ostatni przykład, taki, że ciarki chodzą po plecach, jeśli prawdziwy. Powstanie Warszawskie. Polski zew wolności. Ufam historykom, którzy twierdzą, że to, co się działo WTEDY, ma pozytywny wpływ na naszą wolność TERAZ. Jednak wszyscy wiemy, jakie

Palski. Dorota Mękarska. Generał Karol Świerczewski Walter to pijak i zbrodniarz, <https://poranny.pl/general-karol-swierczewski-walter-to-pijak-i-zbrodniarz/ar/5448410>;

Magdalena Mikrut-Majeranek. (2021). Krzysztof Potaczała: Świerczewski był kiepskim dowódcą i strategiem, ale zrobił wielką karierę w wojsku. Krzysztof Potaczała, autor książki *„Świerczewski. Śmierć i kult bożyszczka komunizmu”* wskazuje, iż pomimo tego, że nadużywał alkoholu i często wydawał błędne rozkazy był lubiany przez żołnierzy, a po śmierci uczyniono z niego „bohatera” *Polski Ludowej*. Czytaj więcej:

<https://histmag.org/Krzysztof-Potaczala-Swierczewski-byl-kiepskim-dowodca-i-strategiem-ale-zrobil-wielka-kariere-w-wojsku-22506>.

kontrowersje budził wybuch Powstania Warszawskiego – moment, zasadność, sens. Dyskutuje się o tym od dawna. Oczywiście wiemy, że ten zryw „wisiał w powietrzu”, że były przesłanki aby uruchomić plan „Burza”, jakieś niedokładne meldunki z Pragi o ruskich czołgach itp. Wiadomo też, że bestialstwo okupantów spowodowało ponad 200 tys ofiar i zburzoną stolicę. Ale już mało kto wie, że jednym z ludzi mających znaczny wpływ na okoliczności wybuchu powstania był oficer o pseudonimie „Niedźwiadek”, u którego niektórzy historycy dopatrzili się cech alkoholika. I twierdzą, że to specyficzne dla tego nałogu myślenie spowodowało pewną straceńczą desperację tej osoby, która wywarła skuteczną presję na pozostałych decydentów (wbrew instrukcjom gen. Sosnkowskiego!)⁴. Cóż, wydarzenia za nami, wielkiego bohaterstwa było wiele, znaczenie wypadków duże i DLA NAS pozytywne, ale gdyby to była prawda? Oczywiście nigdy jedna osoba, nawet dowódca, nie decyduje sam i nie określa definitywnie biegu wydarzeń, a jednak wolałbym nie zastanawiać się nad tą wątpliwością.

Miałem podać trzy przykłady, ale nastręczył mi się jeszcze jeden, bardzo malowniczy, niemal humorystyczny. Przypadek Ignacego Domeyki. Nie, nie był pijakiem, ale to żołnierz - pijacy o mało go nie zabili. Domeyko, filomata, patriota i przyjaciel Adama Mickiewicza, człowiek bardzo energiczny i zdolny, gospodarował skutecznie w swym majątku na Litwie. Tymczasem wybuchło powstanie listopadowe. Zastanawiał się, czy powinien przyłączyć się do powstańców, chociaż od razu... zakupił broń. Podjął się pewnej niebezpiecznej misji, ale powstańcy pojмали go w Puszczy Augustowskiej i zamierzali go rozstrzelać... jako szpiega. Relaksowali się bowiem okowitą i w związku z tym nie byli specjalnie wnikliwi taktycznie. Życie Domeyki uratował kapelan oddziału, który zamarkował spowiedź przedśmiertną, odprowadził skazańca na stronę i radził uciekać w las, chroniąc go przed pijanymi egzekutorami. Domeyko uratowany. Zresztą walczył potem dzielnie. I stał się bardzo sławny w świecie (głównie w Chile, jest tam nawet *Cordiliera Domeyki*).

Ale tu nie chodziło o odwagę osobistą. Tu chodziło o rozsądek. On musiał myśleć. Pytałem kiedyś pułkownika Janusza Bokszczanina (szefa Oddziału III KG AK – przyp. red.), kto to był O. Oni razem służyli w Równem przez jakiś czas. On powiedział: „To był »ura, ura«”. Niestety, nie można oddać losów milionowego miasta w ręce człowieka, który właściwie nie myślał kategoriami trzeźwymi i nie myślał rozsądnie. Nie chcę mówić o zmarłych ludziach źle, ale to był alkoholik i często był pod tzw. gazem Dramat '44 Czy powstanie warszawskie rzeczywiście było wielkim błędem i katastrofą narodową? Z prof. Janem Ciechanowskim rozmawia Maciej Rosalak. <https://historia.uwazamrze.pl/arttykul/923047/dramat-44> [Data publikacji: 15.08.2012 r. Data aktualizacji: 24.04.2020 r. Nr wydania: 16.08.2012]

Wszystko to trzeba podsumować. Plaga pijaństwa w służbach mundurowych jeśli się gdzieś załęgnie, to jak rak toczy je i osłabia. Przykładów historycznych bez liku. Rzadkie kontrprzykłady dodatniej roli używek też są, ale nie zmieniają zasady. Jeśli misją jest proste trwanie na miejscu oparte na sile militarnej (szerzej – zdolnościach porządkowych, bo jest przecież i bezpieczeństwo wewnętrzne zapewniane przez policję i inne służby), to ich trzeźwość jest koniecznym warunkiem niezbędnej sprawności.

Miałem już opuścić ten teren, ale przypomniał mi się jeszcze jeden przykład, właśnie z życia tzw. służb. Historycy to wścibski narodek. Wykryli, że była planowana specjalna, poważna akcja SB mająca na celu kompromitację obyczajową kardynała Karola Wojtyły. Tymczasem jej realizatorzy co prawda dotarli do Krakowa i zaczęli działać, ale z powodu chwilowego opilstwa całkowicie „sknocili” tę akcję. Wszystkie nitki poplątali, zdaje się nawet samochód stracili po pijanemu. Przykład podaję z niemalą satysfakcją. Wszystkie aniołki w krakowskich kościołach się uśmieły... (Litka, Głuszak, 2011).

A od strony pozytywów? Czy trzeźwość jakoś aktywnie wspomaga wojskowych? Owszem. Podaję najpierw przykład naszego króla Władysława Jagiełły, zwycięzcy spod Grunwaldu. Był radykalnym abstynentem. Nie tylko trzeźwiej myślał jako strateg, ale dzięki temu trudniej go było... otruć. W źródlanej wodzie, którą pił, znacznie trudniej było podać truciznę, niż w winie czy piwie. A wtedy (i obecnie) truto bliźnich chętnie.

Drugi przykład jest jeszcze ciekawszy. To przypadek generała Józefa Hallera, dowódcy „Błękitnej Armii”. Był gorącym zwolennikiem propagowania abstynencji alkoholowej, nawet w okresie międzywojennym sam prowadził (jako generał!) pogadanki trzeźwościowe dla ludu. Ten człowiek jest jednym z ojców naszej niepodległości. Jego rozumne i odważne działania wojskowe stanowiły ogromny atut w polskich wojnach o granice państwa w latach 1918-1920. Przekonań co do alkoholu ten wspaniały stary wiarus nie zmienił do końca życia.

Jestem przekonany, że trzeźwość pomaga walczącym. Nie przypadkiem Arystoteles umieścił ją obok męstwa, jako element umiarkowania. Obie cnoty oznaczały bowiem zwycięstwo nad samym sobą. A to daje moc.

Wniosek: trzeźwość obywateli to element bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego kraju.

„Gospodarka, głupcze!”

W oparciu o taki slogan miał wygrać wybory jeden z prezydentów USA. A jak się ma alkohol do gospodarczej siły Polski? Podobno poważni ludzie biznesu nie zgadzają się na drinki w trakcie negocjacji, bo chcą być w pełni świadomi podejmowanych decyzji. Uznają częstowanie w takiej sytuacji za próbę manipulacji. A jak jest z całą gospodarką? Chodzi mi o generalny wpływ nadużywania napojów alkoholowych na jej stan..

Tutaj wypada się spokojnie zastanowić. Zacznijmy od zalet. Napoje alkoholowe to smar gospodarki, setki tysięcy lokali z wyszynkiem, warunek przetrwania setek tysięcy sklepików. Co prawda same wpływy, na przykład eksportowe z wódki, nie są znaczne, liczą się w paru procentach wartości eksportu produktów rolnych Polski. Chodzi jednak o coś innego, o ogólny obraz życia społecznego, w którym napoje te uczestniczą jako swego rodzaju niezbywalny element. Nie można tego lekceważyć i chętnie ten argument podnosi biznes alkoholowy. Natychmiast, gdy postuluje się jakieś ograniczenia tego biznesu, to bębni on o tym, ile to miejsc pracy stracimy w wyniku rozmaitych ograniczeń. „Prohibicję chcą nam zrobić”. Tak się składa, że zdobyłem prywatną wiedzę o reakcji jednego z dawniej działających polskich ministrów, gdy jego podwładny zaczął lansować jakieś ograniczenie alkoholowe, całkiem słuszne i zgodnie z wiedzą światową. Minister wezwał go i zawołał: „Co ty,...(tu wyraz staropolski, powszechnie uznawany za obelżywy), prohibicję chcesz nam zrobić!!!” Słuszny projekt wycofano. Ci ministrowie to jednak łebskie ćwiki, znają się na rzeczy i mają podejście do podwładnych.

Smutne to bardzo, a nawet wstrząsające, ale przez litość nie wymienię, który to z ministrów i jakiego resortu tak zareagował. Miałbym chęć wskazać osoby, ale „*nomina sunt odiosa*” – nazwiska źle pachną. Cóż, jeśli to był jakiś „*crimen*”, to i tak się już dawno przedawnił. W każdym razie było to za mojego świadomego życia.

Ponieważ jednak Polacy ufają w doskonałość „krajów starej Unii”, to powołam się na treść specjalnego raportu grupy ekspertów pod wodzą Petera Andersona i Bena Baumberga dla Komisji Europejskiej (Anderson, Baumberg, 2008). Raport ten i badania Komisja zamówiła sama. Przez kilka lat zbierano dane. Imponuje ich rezultat: zakres dociekań tego zespołu, przejrzystość tekstu, doniosłość stwierdzeń. I wniosek był prosty: **na tym się traci!** Stale i mocno. Ekonomiczny bilans zysków i strat z tytułu obrotu napojami alkoholowymi jest w Europie ujemny i to silnie. Przesunięty na stronę strat. Obrazowo można powiedzieć, że jedno zarobione na alkoholach euro wymaga poniesienia nakładów nie mniejszych, niż 3 euro na

usuwanie strat alkoholowych, bardzo różnorodnych. To nic innego jak lichwiarski kredyt, taka „chwilówka” z niekorzystną umową. Owszem, podatki wpływają, marże rosną, ale straty też. Są i tacy ekonomiści, którzy mówią i piszą, że to nie jest stosunek 1 do 3, ale 1 do 10. Znaczy to, że jakby tak wszystko dokładnie policzyć (koszty ciągnione), to zarobione euro wymaga wydania aż 10 euro z tytułu ponoszonych strat. Tutaj wszystko się liczy, wszelkie pożary, wypadki drogowe, hospitalizacje, przedwczesne zgony, przestępczość, absencja i robota na kacu, wszystko. Jest tego mnóstwo. Ponieważ w to aż wierzyć się nie chce, to muszę tutaj zacytować wspomnianych autorów.

*„W oparciu o przegląd istniejących badań można powiedzieć, że ogólny **wyraźalny w pieniądzu** koszt alkoholu, który poniosło społeczeństwo Unii Europejskiej w 2003 roku, oceniano na 125 mld euro (79 mld minus 220 mld), co odpowiada 1,3 % produktu narodowego brutto i stanowi mniej więcej podobną wartość, jaką obliczono w sprzedaży tytoniu. **Koszty niewyraźalne wprost w pieniądzu** to skutki bólu, cierpienia i utraty życia w wyniku czynów przestępczych, czynów społecznie niebezpiecznych spowodowanych używaniem alkoholu oraz koszty uszczerbku na zdrowiu. W roku 2003 koszty te oceniano na 27 mld euro, przy czym inne sposoby oceny tych samych szkód dawały wartości szacunkowe między 150 mld a 760 mld euro. Chociaż te szacunki są obciążone szerokim marginesem błędu, są prawdopodobnie mniejsze w porównaniu z prawdziwym ogólnym kosztem społecznym alkoholu.”*

(cytat za: Anderson, Baumberg, 2008, s. 45)

To negatywny aspekt gospodarczy obrotu alkoholem. Autorzy cytowanego Raportu uważają, że bez przemyślanej ingerencji władz w rynek alkoholowy (np. pewne ograniczenia dostępności, polityka cenowa i podatkowa) trzeba się będzie zgadzać na systematyczne straty i ich negatywne konsekwencje dla gospodarki Europy. Ale jest jeszcze coś. Piosenka góralska głosi, że:

„Nie pij, chłopce, nie pij, to ci będzie lepiej,

Ci, co nie pijają, bogacie się mają..”

Czy można wskazać na pozytywne efekty trzeźwości dla życia gospodarczego? Istnieją wyraziste przykłady, że autor góralskiej śpiewki dobrze obserwował rzeczywistość i że faktycznie trzeźwość wspomaga ekonomię. Wskażę na dwa przykłady, jeden obcy, a drugi nasz własny. Oba mało znane.

Obcy przykład pochodzi z USA. I nie chodzi tu o dość interesujący, a mało znany skutek decyzji o prohibicji. Mało kto wie, że ta decyzja wsparła okresowo rozwój ekonomiczny w tych kilku stanach, które wdrażały ją bardziej konsekwentnie, niż inne, które akurat przymykały oko na naruszanie przepisów. Być może chodziło o tzw. alokację inwestowanych środków. Wyobraźmy sobie, że jakaś rodzina ma nagle ok. 6 % wyższy budżet, gdy nie wydaje na napoje alkoholowe. Coś musi za to kupić, co ożywia inne, niż alkoholowy, sektory gospodarki. Taki efekt notowano w USA w związku z prohibicją. Ale nie o tym chcę pisać. Jest bardziej interesujący dla nas przykład: EAP – Opiekuńcze Służby Pracownicze. Każdy dolar zainwestowany w EAP przynosił 4 dolary zysku dla firmy, która się na to zdecydowała. Co to takiego to EAP? Jeśli ktoś nie wie, to znaczy, że nie studiował zarządzania na odpowiednio wysokim poziomie. Aż w 60% firm w USA stosowano czynnie ten model. Pojawił się on w okresie II wojny światowej, zdaje się, że w firmie chemicznej Dupont. Jak wiadomo na wojnie walczyli głównie mężczyźni. Zaczęły się braki rąk do pracy w amerykańskich firmach, dodatkowo obciążonych ogromnymi zamówieniami publicznymi. Tymczasem stale część załogi „odpływała”, wykruszała się z powodu alkoholizmu. W zwykłym czasie łatwo kogoś takiego zastąpić, ale wtedy? W sukurs firmie przyszło dwu ludzi powiązanych z terapią uzależnień i ruchem samopomocowym AA. Zaproponowali, aby firma nie pozbywała się „trefnych” pracowników, ale próbowała ich odzyskać poprzez nacisk w kierunku odzyskania trzeźwości. I to się udało. Fluktuacja zmniejszyła się, zniknęły koszty przyuczania nowych ludzi do stanowiska pracy. Od tej pory ten patent znacznie się rozwinął i stał się standardową techniką działania amerykańskich pracodawców w stosunku do pracowników przeżywających różne kłopoty osobiste. Bardziej się opłaca im pomóc, niż ich zwolnić.

Podobne strategie pojawiły się też w Polsce. Znany jest przykład fabryki elektrod węglowych w Raciborzu, która cierpiała na bardzo znaczną fluktuację kadr. To utrudniało osiąganie zaplanowanych celów produkcyjnych. Zastosowanie EAP zmieniło sytuację, fluktuacja zmalała, a produkcja wzrosła.

Mocno wierzę w znaczenie interwencji i wsparcia w ramach EAP⁵, gdyż sam miałem okazję je stosować jako np. dyrektor. W kilku przypadkach udało mi się skłonić moich podwładnych do podjęcia terapii, i to skutecznej. Moim rekordem w tej sprawie było nakłonienie pewnego dyrektora wielkiej fabryki do terapii, a także pewnego doktora psychologii. Oba to były tzw.

⁵ <https://icas.pl/icas-eap-where-are-we.html>

przypadki beznadziejne, ale dobrze poprowadzone interwencje spełniły zadanie. Ci ludzie się uratowali, zatrzymali chorobę i świetnie pracowali. Otwarcie byli mi wdzięczni. Być może nie ma bardziej energicznych i przedsiębiorczych pracowników, niż trzeźwiejący (sprawa wymaga zbadania, to moja zwykła obserwacja). Zatem nie dziwi mnie fakt, że w USA najczęściej interwencję podejmuje pracodawca, i to na wczesnym etapie kłopotów alkoholowych pracownika. Może dzięki temu średni wiek podejmujących terapię uzależnienia jest w USA o 10 lat niższy, niż w Polsce? Oznacza to, że taka osoba jest mniej zniszczona przez alkohol, zdrowsza. W Polsce zakłopotane żony czekają z interwencją, ile mogą (strategia: „*może moja miłość go odmieni?*”), co sprawia, że na ewentualną terapię uzależniony trafia bardziej dotknięty skutkami choroby. Bo w Polsce to żony „kierują na terapię”, a nie pracodawca. Model z USA jest dużo lepszy.

Drugi przykład pozytywny pochodzi z Polski, z okresu międzywojennego. I jest zapewne jeszcze mniej znany. Wielu Polaków słyszało o św. Maksymilianie Marii Kolbe i jego bohaterskiej śmierci w celi głodowej w Auschwitz. Ale już dużo mniej kojarzy go z niezwykłym cudem gospodarczym, w mojej opinii największym w całym okresie II Rzeczypospolitej. Św. Maksymilian założył w miejscowości, w której aktualnie zamieszkuje (Paprotnia, gmina Teresin, 42 km od Warszawy na zachód) klasztor – fabrykę poligraficzną. Z maleńkiego ziarenka wyrosło olbrzymie drzewo. Zakonników żyło tam i pracowało ponad 700. Ta „firma” produkowała idee – miesięcznik „Rycerz Niepokalanej” rozchodzący się w kilkuset tysiącach egzemplarzy miesięcznie (np. 700 000, uwaga: w prenumeracie!), gazeta „Mały Dziennik” – 130 tysięcy egzemplarzy dziennie. Uruchamiano radio, a Święty rozważał nawet założenie.. telewizji (w 1937 roku!). Każdy, kto odwiedzi muzeum w klasztorze niepokalanowskim jest zdumiony nowoczesnością i rozmachem tego przedsięwzięcia. To był rekord świata w tempie i doskonałości rozwoju. I nie było to oparte na jakichś mitycznych „ukrytych finansach Kościoła”, bo takich Kolbe nie miał (jego działalności nie popierało wielu współbraci w zakonie, przezywając go „Szalony Maksio”). Opierał się na oddaniu współpracowników – kandydatów do zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, na krótkoterminowych kredytach, które regularnie spłacano i na stałej innowacyjności, od najniższego do najwyższego szczebla. W tym „superprzedsiębiorstwie” wszystkie wpływy uzyskane z dobrowolnych ofiar (takie były warunki prenumeraty „Rycerza”) natychmiast szły albo na spłatę wspomnianych kredytów, albo na nowe inwestycje. Tym sposobem Święty miał do dyspozycji najszybszą maszynę rotacyjną w Polsce, kupioną przez niego osobiście na światowych targach poligraficznych w Lipsku. Po 2 godzinach negocjacji i wypytывaniu

zaskoczonych subiektów oświadczył prosto: „Kupuję”. I maszyna przyjechała do stacji nazywanej wtedy „Szymanów”(dziś Teresin – Niepokalanów). Parę dni i ruszyła. Bo w tym miejscu nic nie działo się powoli. Pracowano dziennie 8 h, modlono się 4 h.

Jak się to ma do naszego tematu? Oczywiście w Niepokalanowie nikt nie pił. To zachowanie było tak obce skupieniu się na „produkcji na chwałę Niepokalanej”, że gdyby jakiś adept spróbował je naruszyć, to wyleciałby z klasztoru natychmiast. Kolbe prowadził dość zasadniczą politykę kadrową. Uważał, że jego idea jest tak ważna, że tylko ludzie najbardziej oddani mogą ją realizować w pełni. Nie było miejsca na letniość. Sam rytm życia (8+4) nie pozwalał na jakieś ekscesy alkoholowe, a zresztą gdzie i za co by „to” kupili? Klasztor stał w szczerym polu, budowany na surowym korzeniu.

A jego założyciel ujawnił swój stosunek do alkoholu w przededniu wybuchu II wojny światowej. Przełożeni nakazali mu rozpuścić niemal wszystkich kandydatów na zakonników do ich domów rodzinnych na czas wojny. Kolbe zgromadził ich na placu, przemówił i odebrał od nich bardzo szczególne przyrzeczenie. Zażądał, aby przyrzekli, że na tym „wyznaniu”... nie będą palić tytoniu i pić wódki! I przyrzekli.

Przytaczam ten szczególny przykład, aby pokazać jaką niezwykłą moc w działaniu gospodarczym mają czynniki takie jak trzeźwość (zasadniczo nawet: abstynencja). Kolbe jako „Ojciec Dyrektor” doskonale to rozumiał i stosował. Cóż: „*ci, co nie pijają, bogacie się mają..*”. I już.

Wniosek jaki z tego wypływa jest taki: nie ma długotrwałego, mocnego , innowacyjnego rozwoju gospodarczego kraju bez trzeźwości jego obywateli, zwłaszcza czynnych gospodarczo, pracujących lub zarządzających pracą innych.

Przykładów i uzasadnień bez liku.

Demografia - ludzkie życie - służba zdrowia.

W modelu, który właśnie ćwiczymy, a który jest czysto materialistyczny, misja kraju w zawężonym ujęciu to proste trwanie i sprawne wykorzystanie dostępnych zasobów. A zasoby to przede wszystkim ludzie, słynna „substancja”, zwana „populacją”. Szczególne miejsce zajmują zatem tematy demografii i zdrowia. Jakże to aktualne w obliczu przeżywanej przez nas epidemii koronawirusa. Przecież to z powodu troski o „substancję żywą” zastosowano

liczne ograniczenia. Razem z wpływem gospodarczym, a nawet politycznym, epidemia to oczywista katastrofa. I słusznie „walczymy z wirusem”.⁶

Pomyślmy o kilkudziesięciu tysiącach ofiar. Zapewne w przyszłości więcej. To bardzo dużo. Cóż: epidemia. Ale kiedyś wyliczyłem, że dziennie mamy 56 ofiar śmiertelnych z powodów alkoholowych. Rocznie jest to ponad 20 tysięcy ofiar. Rok w rok, bez epidemii! Szczegółową analizę zawarłem w mojej ostatniej monografii, ale tutaj warto wskazać na kilka pozycji najmniej znanych. Oto martwiliśmy się śmiertelnymi zatruciami z powodu używania nowych narkotyków (NSP, tzw. dopalaczy), gdy było to... 29 osób rocznie. W tym samym roku liczba zatrutych śmiertelnie etanolem (czyli zwykłym alkoholem z napojów, nie chodzi o metanol, który chemicznie jest mniejszy, krótszy i bardziej toksyczny) wyniosła znacznie ponad tysiąc zmarłych. Jakoś nikt nie trąbił na alarm z tego powodu. Wstydliwie chowamy takie dane pod dywanem i trzeba niemałego trudu, aby je wyłuskać z powodzi publikowanych informacji. Nie są modne...

Jeszcze ciekawszy jest aspekt roli napojów alkoholowych w powstawaniu nowotworów. Okazuje się, że odgrywa on istotną rolę. Przypisuje mu się ok. 10 % powstałych chorób nowotworowych (6 % - 11 %). Do spółki z tytoniem zwiększa też zapadalność, gdyż te dwa zachowania powodują tzw. koincydencję kancerogenezy. Ktoś wyliczył, że gdybyśmy nagle całkowicie rzucili palenie i picie, to 83 % nowotworów nie pojawiłoby się wśród nas. Czynnikiem kancerogennym jest prawdopodobnie produkt utleniania alkoholu czyli aldehyd octowy (skądinąd źródło kaca). Jest on bardzo reaktywny chemicznie i uszkadza DNA komórek, z którymi się styka.

Jakie nowotwory mają coś wspólnego z alkoholem? Rak płuc, gdyż jest ta synergia tytoń/alkohol. A dla samego alkoholu: raki okolic głowy (np. usta, krtań), raki układu trawiennego (przelyk, żołądek, trzustka, jelito grube), rak piersi u kobiet i inne. Słyszymy, że za chwilę to nowotwory staną na czele jako główna przyczyna zgonów Polaków. Stąd różne bardzo dobre pomysły w rodzaju narodowej strategii onkologicznej. Jednak nie spełni ona w pełni oczekiwań w społeczeństwie rozpitym. I duże nakłady finansowe na obniżenie zapadalności na raka zostaną w znacznej mierze zmarnowane. Nie można zarazem szyć i pruć. A my to robimy...

⁶ W chwili redagowania książki to ok. 45 tysięcy.

Jest oczywiście wiele innych ważnych aspektów zdrowotnych, jak przepełnienie szpitali psychiatrycznych osobami, których problemy psychiczne są związane z nadużywaniem alkoholu. Jest to nawet kilkadziesiąt procent hospitalizowanych.

Kolejnym momentem do zastanowienia jest to, że w Polsce co roku rodzi się przynajmniej kilkaset dzieci z pełnoobjawowym Płodowym Zespołem Alkoholowym (FAS) i znacznie więcej z częściowym zespołem tego typu (tzw. FAE). To wielka niepełnosprawność, którą może zafundować dziecku jego mama w ciąży, nawet przy jednorazowym upiciu się. To nie tylko alkoholiczki rodzą dzieci z FAS / FAE, ale wiele nieostrożnych mam, które uzależnione nie są. Obserwowane podnoszenie się wskaźników upijania się młodych kobiet powinno tu być wielkim ostrzeżeniem. FAS powoduje selektywne uszkodzenia układu nerwowego, które niekiedy całkowicie dezorganizują życie dotkniętego nim człowieka. Proszę zapytać o wrażenia jakiegoś doświadczonego nauczyciela, któremu zdarzyło się pracować z dzieckiem z FAS. A wedle badań aż 20% kobiet w ciąży nadal używa napojów alkoholowych. To nie są alkoholiczki, tych jest o wiele mniej. To są kolejne przykłady „paradoksu prewencyjnego”.

Ciekawy i ważny jest ewentualny wpływ nadużywania etanolu na demografię. Pozornie sprawa jasna, gdy przypomnimy sobie „rodziny z marginesu, obarczone wieloma dziećmi”. Nieznany jest fakt, że akurat w rodzinach wielodzietnych (3+) ten stereotyp się nie sprawdza – mają o wiele wyższy wskaźnik wykształcenia, niż rodzice w tych przeciętnych. Ja akurat jestem 3+, bo jestem ojcem trzech córek. A z żoną mamy po dwa fakultety każde, nie licząc mojego doktoratu i habilitacji. I większość rodzin wielodzietnych, jakie znam (czasem 5, 6+, a nawet... 8 czy 12+), to rodziny z bardzo wysokim wskaźnikiem wykształcenia rodziców. Na przykład w ruchu znanym jako Neokatechumenat duża liczba dzieci jest standardem. Podobnie w wielu rodzinach związanych z oazą (tu już mniej, ale i tak dużo). W rodzinach 3+ i więcej dzieci rodzi się aż 40% wszystkich dzieci kolejnego pokolenia Polaków, a jest takich rodzin tylko 11% wszystkich. To pokazuje jak znaczny wysiłek biorą te rodziny na swe barki. Oczywiście również finansowy. Nawet słynne 500+ tego w pełni nie rekompensuje. Zatem przykład „pijanych dzieciorobów” przy bliższej analizie okazuje się chybiony.

Jest jeszcze coś, a mianowicie negatywny wpływ nadużywania alkoholu na ludzką płodność. Uważa się, że znacznie przyspiesza on nadejście menopauzy u kobiet. A u mężczyzn jest tak, jak pisał Szekspir w „Makbecie” (skąd to wtedy wiedział?), że alkohol: „zwiększa pożądanie, ale osłabia wykonanie”. Jakieś kilkaset tysięcy mężczyzn w Polsce cierpi na impotencję

alkoholową. To, być może, główna jej przyczyna (odtytoniowa impotencja to jakieś 120 tysięcy). I takie coś stało się symbolem męskości! Chyba przez grubą pomyłkę, dawno temu.

Aż mi się nie chce streszczać dalej rozdziałów naukowych monografii i raportów poświęconych wpływowi alkoholu na zdrowie (np. Raporty o stanie zdrowia na świecie WHO, np. Raport z roku 2003 czy raporty PZH). Te dane bardzo łatwo znaleźć. W krajach naszego typu (pod względem dochodów i stopnia rozwoju) alkohol zajmuje I miejsce jako pierwotny czynnik przedwczesnej utraty życia i zdrowia. Przyczynia się poważnie do kilkudziesięciu chorób, mniej poważnie do kilkuset. Odpowiada za 11% przedwczesnych zgonów w skali światowej. A w odniesieniu do młodego pokolenia: aż 25% wszystkich zgonów ludzi w wieku 15-29 lat w UE, to śmierci wprost „alkoholowe” (Anderson, Baumberg, 2008).

Wniosek: nadużywanie napojów alkoholowych zmniejsza potencjał demograficzny kraju, zwiększa obciążenie chorobami i wypadkami, a także obciąża nadmiernie wybrane sektory służby zdrowia.

Zabójstwo po polsku...

Rozpatrując najprostszy model misji dziejowej Polaków warto jeszcze się zatrzymać na chwilę nad kwestią bezpieczeństwa wewnętrznego czyli sytuacji, gdy zabijamy się sami. Polacy są stosunkowo spokojnym narodem i coroczna liczba dokonywanych zabójstw jest raczej niska (ok. 500 - 600 przypadków rocznie) na tle np. takich państw jak chociażby Francja. Jednak charakterystyczne są okoliczności tych zabójstw – najczęściej po pijanemu, gdy powodem jest banalna pijacka sprzeczka, a narzędziem zbrodni nóż kuchenny. Czasem takie zabójstwo jest spektakularne, jak w przypadku pewnej ferajny, która w trakcie imprezy postanowiła wyrzucić jedną z młodych uczestniczek z 9 – tego piętra wieżowca. W tym wypadku cud się nie wydarzył. Różne analizy wskazują na to, że w przypadku polskich zabójców aż 80% jest „pod wpływem” w momencie zbrodni. Nie zawsze ukazują to oficjalne statystyki policyjne, gdyż nie udaje się od razu ująć i zbadać sprawcy. Jednak analizy kryminologiczne ukazują obraz „zabójstwa z miłości do wódki” jako typowej sytuacji. Zastanawia mnie względne milczenie części kryminologów wobec tej sprawy. Czyżby znowu niechęć i zamykanie pod dywan tego ewidentnego czynnika?

Spektakularny jest przypadek pewnego mordercy, Grzegorza Płociniaka, który pod sam koniec odbywania długoletniej kary więzienia po pierwszym morderstwie zabił i ograł na

przepustce zaprzyjaźnionego z nim lekarza więziennego oraz jego żonę! Lekarz pomagał mu w trakcie odbywania kary, był życzliwy. Zapytany o to dlaczego zabił odpowiedział: „Nie wiem... Byłem pijany...” (Andrzejczak, 2018, s.54-57).

Jeszcze gorzej wygląda to w przypadku samobójstw. Znowu bardzo znaczna część z nich jest uwarunkowana alkoholowo. A jest udanych samobójstw w Polsce w ciągu roku ponad 7000, z różnymi wahaniami. Okazuje się, że jest ścisła korelacja między krzywą obrazującą przyrost uzależnionych, a krzywą obrazującą przyrost samobójstw. Osób, które skutecznie targnęły się na życie jest w Polsce proporcjonalnie dużo (proporcjonalnie to znaczy w odsetkach na tle innych krajów europejskich). Można makabrycznie zażartować, że inni wolą pozbawiać życia innych ludzi, a nie siebie, a my gustujemy w samobójstwach. Co kraj, to obyczaj. Zainteresowanych wspomnianą korelacją uzależnienie/samobójstwa odsyłam do prac zespołu prof. Wojnara.

W zasadzie w którą stronę nie spojrzeć, to ukazuje się tło alkoholowe ataku na ludzkie życie. Szczególnie to widać w przypadku takiego przestępstwa jak bójki, napady, pobicia. Robiono na świecie (np. Australia) bardzo cenne badania terenowe. Zarządzano np. nocną prohibicję na terenach znanych z takich napadów. Okazywało się, że raptownie liczba takich wydarzeń malała, okolica stawała się bezpieczniejsza. Polacy zapytywani o to, czego sobie życzą od władzy odpowiadają najczęściej, że podniesienia poziomu codziennego bezpieczeństwa na ulicach. A nie wiedzą o tym, jak proste środki do tego prowadzą. Zdumiewa mnie, jak słabo z możliwości tego typu zakazu skorzystały polskie gminy. Jednocześnie często uchylano to nowe prawo pod naciskiem lokalnego lobby biznesowego i mediów. Pomimo meldunków np. policji, że jest dużo bezpieczniej. W zasadzie przydałoby się przygotować taką „złośliwą” kampanię społeczną ujawniającą te fakty tuż przed wyborami lokalnymi. Ciekawa byłaby reakcja kandydatów na samorządowych włodarzy. Zwykli ludzie stają się w tym wypadku jakby zakładnikami tych, którzy bez nocnego obrotu alkoholem nie mogą wytrzymać.

Rolę trzeźwości w zachowaniu porządku wewnętrznego rozumiały nawet władze PRL, gdy okresowo ogłaszały sytuacyjną prohibicję w związku z różnymi wydarzeniami społecznymi. A jeszcze lepiej zrozumieli to robotnicy strajkujący w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. Sami się ograniczyli usuwając alkohol z terenu strajku. W znacznej mierze to ich umocniło.

Wniosek: z powodu kryminologicznej i wiktymologicznej roli napojów alkoholowych trzeźwość sprzyja bezpieczeństwu wewnętrznemu i zachowaniu porządku publicznego.

Podsumowanie modelu misji rozumianej jako społeczna homeostaza (i rozwój).

Możemy już zakończyć ten fragment rozważań. Gołym okiem widać, że alkohol nie jest towarem jak wszystkie inne i jeśli chcemy zadbać o podstawowe cele życia społecznego (proste trwanie, normalny rozwój), to nie możemy dopuścić do zaburzenia trzeźwości na poziomie społecznym. Jednym słowem nie możemy dopuścić do rozmnożenia się nadużywania napojów alkoholowych. I nie chodzi tu o wskaźnik osób uzależnionych (oczywiście też istotny), ale o wskaźnik osób nadużywających nieuzależnionych od alkoholu (patrz: paradoks przewencyjny) oraz o pozycję nadużywania alkoholu w kulturze (w obyczaju, w normach). Każdy decydent, nawet najmniejszego szczebla, jeśli to zaniedbuje, to niszczy swoją społeczność na elementarnym poziomie biologicznym i społecznym.

Oczywiście przede wszystkim każdy człowiek, który nadużywa tej substancji – niszczy nie tylko siebie, ale swoją społeczność. Teraz pora zająć się kwestią uzależnionych na tle głębiej ujmowanej misji – zmienimy nasz model misji na ambitniejszy, głębszy. W drogę...

II. Pogłębiony model – człowiek w centrum misji Polski.

Drugi model polskiej misji.

W poprzednim modelu opieraliśmy się na ujęciu misji Polski w zasadzie materialistycznym, upowszechnionym od XVIII wieku, z kulminacją w wieku XX. Można jednak zdystansować ten uproszczony model poprzez odmienne, głębsze podejście filozoficzne, a mianowicie tzw. personalizm. Kiedy rozumiemy człowieka jako osobę, a społeczeństwo jako osobową wspólnotę, to ukazują się zupełnie inne perspektywy. Czym jest osoba? Wedle definicji filozofa Boecjusza sprzed 1500 lat, osoba istnieje jako samodzielny byt (podmiotowość), jest rozumna (poznaje prawdę) i wolna (czyni dobro). Istnienie, rozum i wola – to niezbywalne atrybuty osoby. Karol Wojtyła jako profesor etyki chętnie odwoływał się do starożytnej chrześcijańskiej nauki, w której każda osoba ludzka jest tak wspinała w swej doskonałości bytowej (godności), że sama jedna przewyższa cały materialny wszechświat i wszystkie ludzkie wytwory. Jest więc (pojedynczo!) więcej warta, niż cały kosmos i cała kultura. Jeszcze bardziej, gdy wiąże się relacjami osobowymi z innymi osobami tworząc wspólnotę. Takie filozoficzne ujęcie człowieka jest daleko głębsze od dominującego modelu materialistycznego. Człowiek nie jest już jakimś postulatem, jakąś buntowniczą proklamacją

czy projektem, jak u F. Nietzsche'go, ale prostym faktem bytowym, który w zupełności wystarcza jako podstawa jego niezbywalnej godności.

Zauważmy szczegół: każdy człowiek, bez względu na okoliczności. A zatem i święty, i zbrodniarz; i dorosły, i dziecko; i sprawny, i niepełnosprawny; i zdrowy, i chory. Wrażliwość na wartość życia najsłabszych członków społeczności wyróżnia dojrzałe kultury, które rozpoznały rzeczywistą wartość ludzkiego życia. Zwłaszcza tego „najsłabszego”, „życia niegodnego życia”, „życia słabej jakości”.

Żyjemy w czasach wyjątkowej pogardy dla ludzkiej słabości. Eliminujemy naszych najsłabszych (aborcja, w tym tzw. późna, wyjątkowo barbarzyńska; eutanazja). W społeczeństwie produkcji i konsumpcji liczy się tylko „homo faber et homo ludens” – człowiek produkcji i zabawowej konsumpcji. Zastanawia mnie decyzja pewnych krajów europejskich, aby podczas pandemii „odmrozić” rywalizację klubów piłkarskich czy galerii handlowych, jednocześnie zachowując restrykcje dla obrzędów religijnych. Co za straszny świat wielorakiego upadku człowieka, który zapomniał o swej godności osobowej. Oto masy pozbawione swej pożywki sportowej, zachwiane w równowadze psychicznej są „reanimowane” przez ponowny dostęp do „igrzysk” (zabaw). Ponoć to rzymski lud wołał „*panem et circenses*” – chleba i igrzysk, gdy rozdawano za darmo zboże znacznej części rzymskich obywateli, zapewniając im również rozrywkę. Oczywiście kosztem mas pracujących na to niewolników. W ogromnej rzymskiej metropolii obywatele za darmo napawali się rozkoszami doskonałych łaźni (term), ale na niższym poziomie budynku rzesze niewolników zapewniały funkcjonowanie dorzucając do pieców, co już nie było tak rozkoszne. Ten starożytny model często podtrzymujemy, gdy tolerujemy wyzysk.

Jak się w tej sprawie sytuuje Polska? W różnych czasach różnie, ale generalnie jesteśmy krajem, który dość mocno próbuje opierać się na personalizmie i chronić swych najsłabszych. Widać to, gdy rozważy się aktualne dane o zgonach z powodu zakażenia wirusem. Oto w Szwecji jest zgonów dużo, głównie osób starszych. Jest to wynik pewnej decyzji, której Szwedzi nie podjęli. Postawili na obracanie się gospodarki i życia społecznego. Wirus pokonuje głównie najsłabszych. W wielu krajach europejskich znaczna część ofiar wirusa to ludzie starsi. Biorąc pod uwagę powolność reakcji prewencyjnych sprawiało to wrażenie jakiejś cichej zgody na masową eutanazję (?). Zapewne gdyby wirus uderzał w najbardziej produkcyjnych młodych, restrykcje byłyby natychmiastowe i bardziej zdecydowane. A jeśli taki wirus się zjawi jako kolejna mutacja? Przecież przed stu laty grypa, mylnie zwana

„hiszpanką”, atakowała niemal wyłącznie ludzi młodych i pozbawiła życia miliony ludzi w pełni sił.

U nas zdecydowano inaczej – chronić każdego, również tego, co „śpi na zapiecku i jest na wycugu”, starszego, chorego, zmęczonego życiem, nieproduktywnego. Cykl szczepień zaczęliśmy od najstarszych. Oczywiście można dyskutować czy taka strategia była podyktowana świadomym wyborem personalistycznie zorientowanej władzy czy tylko wynikiem przypadku. Nawet wtedy zasługiwałaby na uznanie. Oczywiście i my stajemy przed dylematem „chronić staruszków czy gospodarkę” i co można, to odmrażamy, po skalkulowaniu, że bez ekonomii liczba ofiar może być równie duża na innych polach. Ale ten pierwszy odruch restrykcji dla ochrony najsłabszych jest bardzo polski i godny wielkiego uznania.

Różnica w strategiach epidemicznych w poszczególnych krajach oddawała w dużym stopniu panujące w nich podejście do człowieka. Były i takie kraje, które zlekceważyły ten aspekt, a potem płaciły i płacą straszną cenę. Sądzę zresztą, że to nie koniec zmagania. Jeszcze niejedno odsłoni nam epidemia. Jeśli o człowieku myśli się jako o zwierzęciu, a o społeczeństwie jako o stadzie, to podejmuje się inne decyzje, niż gdy rozważa się wartość absolutnie każdej osoby (patrz: zagadnienie i strategia tzw. odporności stada).

Wiem, że nasza ludzka słabość nakłada się na te sprawy. Mam w rodzinie osoby, które z zadowoleniem powitałyby rychłą śmierć swoich starszych bliskich umieszczonych w domach opieki i wreszcie dobrały się do spadkowych „konfitur”. Nie chcę nas idealizować. Ale sądzą, że z powodu oczywistego personalizmu polskiej kultury ewentualne decyzje „eutanazyjne” polityków nie zyskałyby na popularności. Jeszcze jesteśmy w większości personalistami, staramy się szanować każdego człowieka.

Kim jest najsłabszy? Problem „choroby alkoholowej”.

Ten wstęp pozwala mi teraz ukazać zbyt mało znany aspekt problemów alkoholowych. Kto wśród nas jest najsłabszy i wymagający szczególnej ochrony? Oczywiście jest, że osoby chore czy niepełnosprawne są w gorszej sytuacji życiowej, niż pozostali – zdrowi i silni. Podobnie co do wieku – im ktoś jest młodszy (zwłaszcza nienarodzony czy małe dziecko) lub im ktoś jest starszy, tym jego życiowa pozycja jest słabsza, niż osób w sile wieku. Również biedniejsi i słabiej wykształceni są słabsi, niż bogaci i dobrze wykształceni. To wiemy i rozumiemy. Są jednak takie grupy osób słabszych, których słabości nie widać.

Wspomnieliśmy już wcześniej o dzieciach dotkniętych syndromem FAS czy FAE. Warto zauważyć, że obarczenie tym syndromem naraża człowieka na cierpienia do końca życia, ale jego słabości są ukryte w centralnym układzie nerwowym. Nie widać ich od razu, ujawniają się dopiero funkcjonalnie, gdy mózg zawodzi. Dzieci z FAS bywają uważane w szkole za „zdolne, lecz leniwe” i odpowiednio źle traktowane, tymczasem one po prostu nie mogą poradzić sobie z zadaniami łatwymi dla pozostałych. Jednocześnie ich uszkodzenia są nierównomierne – mogą np. całkiem nieźle mówić, chociaż zarazem słabo rozumować. Zatem jakaś nasza słabość wobec innych może być ukryta, trudna do rozpoznania.

Jeszcze bardziej ujawnia się to, gdy przyglądamy się zjawisku zwanemu zespołem uzależnienia od alkoholu (popularnie: alkoholizm). Przez bardzo długi czas miało ono wyłącznie kwalifikację moralną. Alkoholika chętnie się oceniało negatywnie, jako siewcę zła. Dopiero w latach 60-tych XX wieku amerykański specjalista Jellinek zaproponował ważną zmianę prezentując uzależnienie jako chorobę. Jak trudno jest ludziom przyjąć tę perspektywę świadczy treść znakomitej książki W. Osiatyńskiego „Grzech czy choroba”. Nawet on, zmagający się z uzależnieniem wybitny profesor prawa, miał z tym kłopot. A szukał odpowiedzi głównie dla samego siebie. Każdy bowiem chce znać zakres swej osobistej odpowiedzialności za cierpienia spowodowane obranym stylem życia.

Od czasu prac Jellinka nie mamy już wątpliwości, że istnieje takie zaburzenie psychiczne jak „zespół uzależnienia od alkoholu”, potrafimy je diagnozować (Cierpiałkowska, 2010), a w pewnym stopniu nawet poddawać terapii (nadal jednak jej efektywność pozostawia wiele do życzenia, ratuje się mniejszość uzależnionych, około 35 % leczonych dobrowolnie). Wiemy coś jeszcze ważniejszego, a mianowicie poznaliśmy czynniki ryzyka, które jeśli występują w czymś życiu, to znacznie przyspieszają wchodzenie w chorobę. Najprościej mówiąc są to: wiek, płeć i obciążenie genetyczne. Im młodszy nadużywający, tym szybciej się uzależni. Szybciej idzie to u kobiet, niż u mężczyzn. I wreszcie geny, biologia. Wydaje się, że podłoże biologiczne odpowiada za 30 – 50 % ryzyka w poszczególnych przypadkach.

„Międzygeneracyjna transmisja uzależnienia” i jej konsekwencje etyczne.

Jak daleko sięgają te ustalenia można zobaczyć, gdy czyta się specjalistyczne prace dokumentujące istotny związek np. między kolorem oczu, a tempem uzależnienia (Eisenberg, 2016). Według poważnych badań oczy niebieskie charakteryzują osoby o większej podatności na uzależnienie (to są tzw. homozygoty recesywne, bo dominujący gen powoduje oczy piwne). Rozejrzyjmy się dookoła – bardzo wielu rodaków ma niebieskie czy

niebiesko – szare oczka. Takich badań z zakresu genetyki człowieka jest coraz więcej i więcej. Nie znamy jeszcze dokładnej lokalizacji genów odpowiedzialnych za przyspieszanie lub spowalnianie procesu uzależnienia od alkoholu, ale tylko patrzeć jak się takie ustalenia pojawiają. Przecież taka wiedza to potencjalna „żyła złota” dla firm farmaceutycznych.

Początkiem zainteresowania tą sprawą były badania zjawiska znanego jako „międzygeneracyjna transmisja uzależnienia”(Hussong i wsp. , 2008). Dzieci alkoholików są bardziej, niż inne podatne na kontynuację uzależnienia rodzica (a jeszcze bardziej rodziców, jeśli problem dotyczy mamy i taty) (Wojcieszek, 2016b). Według terapeutów taka kontynuacja zachodzi w 60% przypadków (bo taki jest odsetek DDA trafiających do terapii), ale dokładniejsze badania populacyjne mówią o ok. 25 % kontynuacji. Innymi słowy z czworga dzieci osoby uzależnionej jedno statystycznie musi się uzależnić, jeśli pije alkohol.

Jeśli pije... To ważne zastrzeżenie. Geny nami nie rządzą. Jeśli ktoś jest obarczony ryzykiem, ale nie pije, to jego geny są „bezsilne”, nie zrobią z niego alkoholika. Oto wartość pełnej abstynencji w pewnych przypadkach. Nie jest tak, że posiadacz trefnych genów węszy i szuka gdzie by tu wypić i się uzależnić. Jedynie w sytuacji, gdy pije dostatecznie często, to ryzyko się wzmacza (tzw. efekt teleskopowy). Taka sytuacja tłumaczy różne zaskakujące obserwacje, gdy ktoś jest tęgim pijakiem, a do końca życia nie wkracza na teren ciężkiego uzależnienia. Pijaństwo nie zamienia się automatycznie w uzależnienie, trzeba mieć w sobie „to coś”...

Wielu specjalistów wskazuje też na inne przyczyny transmisji uzależnienia słusznie wskazując na traumy psychologiczne dzieci w rodzinach osób problemowo pijących, na rolę modelowania (złego przykładu) i luźnych norm wychowawczych w takich rodzinach. Oczywiście to wszystko prawda. Przypomnijmy chociażby przeżycia dziewczynki, która była bohaterką znanej książki „My, dzieci z dworca zoo”. Ta młodociana narkomanka widziała jak jej ojciec pastwił się nad całą rodziną, doświadczała niepewności, porzucenia, bicia... Widziała jak pijany ojciec usiłuje utopić jej mamę w wannie pełnej wody. Często matka uciekała pozostawiając dzieci na łasce pijanego okrutnika. Takie traumy wszechstronnie osłabiają i wedle badań (w tym polskich – Dragan, 2008) niejako wpychają dziecko na tor zaburzonego rozwoju i uzależnienia. Mamy dość dużą wiedzę z zakresu psychologii rozwojowej i systemowej psychologii rodziny, pozwalającą na interpretację losów poszczególnych dzieci i ich zachowań (słynny syndrom DDA, słynne destrukcyjne role życiowe). Zatem to nie tak, że same geny decydują o stopniu ryzyka. Ale bardzo znacznie je powiększają, być może w stopniu decydującym (te 50% wpływu wśród innych czynników).

„Diabelska loteria”.

Ale geny mają to do siebie, że ich... nie widać. Gdy grupa ludzi siada do biesiady to obarczeni ryzykiem nie mają napisane na czole, że są nim obarczeni. Zachowują się tak, jak nakazuje obyczaj i piją. Albo nie piją, tak jak niżej podpisany. Sądzę, że moja decyzja o pełnej abstynencji motywowana głównie religijnie i etycznie zabezpieczyła mnie przed przeżywaniem uzależnienia na własnej skórze. Gdy analizuję historię mojego rodu (tzw. *genogram*), to znajduję bardzo wiele podstaw do uznania, że koncentracja wiadomych genów jest u mnie bardzo duża. Pewnikiem pijąc „cóż” rychło bym się uzależnił. A tak moja „kariera alkoholowa” zakończyła się na kilku drinkach wypitych w wieku nastoletnim, po czym ... zostałem abstynentem (16 lat). Opatrzność czuwała! A mnie udało się z nią współpracować.

Co to wszystko oznacza? Ano tyle, że osoby takie jak ja, obarczone większym ryzykiem od strony biologicznej (i oczywiście od innych stron, np. psychologiczno-rozwojowych) uczestniczą w czymś w rodzaju loterii fantowej. Jeśli obracają się w środowisku powściągliwym, mało pijącym, to często nawet duże „stężenie” czynników ryzyka nie powoduje ich przejścia do grupy uzależnionych. Jeśli jednak takie osoby „słabsze, lecz ze słabością niewidoczną” uczestniczą w życiu społeczeństwa rozpitego, o przyzwalających normach („*alkohol jest dla ludzi*”), to prawdopodobieństwo złego obrotu spraw znacznie wzrasta.

Jeszcze inaczej rzecz ujmując – Twoje nadużywanie, Drogi Czytelniku, jeśli nadużywasz (?), stanowi dla tych słabszych braci wzrost ryzyka. Pijąc nadmiernie przyczyniasz się w dużym stopniu do ich życiowej porażki, i to kompletnej. Za życia lądują bowiem w piekle. Każdy, kto obserwował życie jakiegoś uzależnionego nie ma wątpliwości, że to piekło.

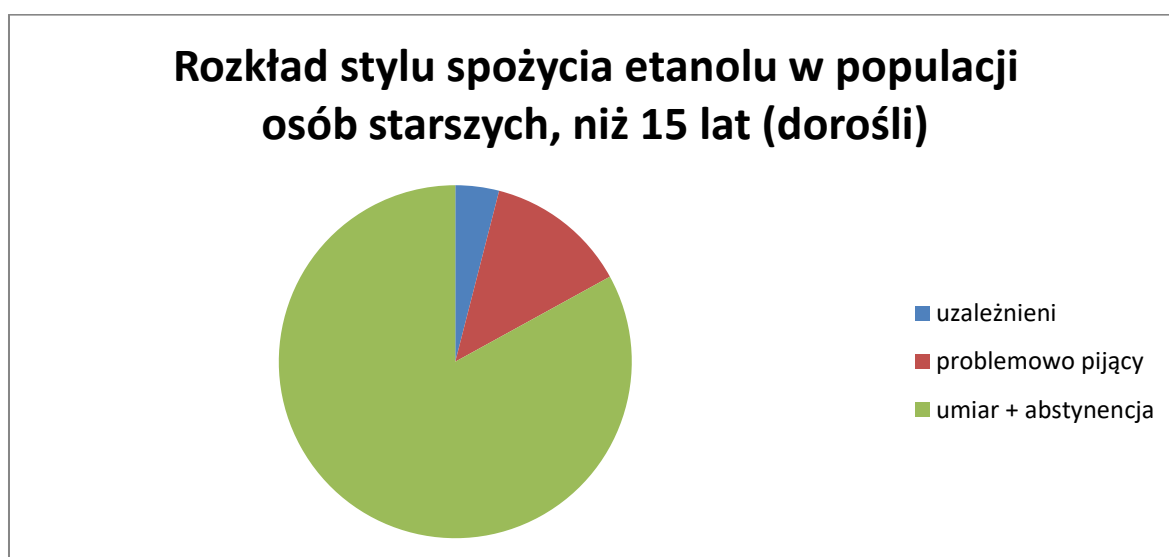
Dlaczego opisuję to tak szczegółowo w rozważaniach o „misji Polski”? Ponieważ jestem przekonany, że mamy obowiązki etyczne wobec najsłabszych. Być może to fragment uniwersalnej misji każdego społeczeństwa – chronienie swoich najsłabszych? Bliskie mi jest takie ujęcie, choć dalekie od społecznego darwinizmu. Społeczeństwa dopuszczające w swej obyczajowości nadmierne używanie napojów alkoholowych są współsprawcą nieszczęścia zwanego „zespołem uzależnienia od alkoholu”. Łatwo przychodzi nam potępiać uzależnionych czy wręcz nimi pogardzać (ci wstrętnei pijacy, ta „patologia”). Nie zauważamy, że są oni... poniekąd naszym dziełem. A ściślej naszych przekonań normatywnych, sposobu życia, w którym to upijanie się od czasu do czasu stanowi powód do społecznej chluby. Jakoś

nie zauważyłem, aby w naszym społeczeństwie czyjeś poważne kłopoty alkoholowe zagrażały np. karierze politycznej. W wyborach te kwestie są niemal nietknięte, uznajemy je za sferę prywatną kandydatów. Co najwyżej pośmiejemy się z „choroby filipińskiej” byłego prezydenta. A tymczasem stajemy się współsprawcami czegoś naprawdę strasznego i brutalnego. Alkoholizmu naszych słabszych bliźnich.

Rozpisałem się o tym tak dużo, bo sprawa jest naukowo ewidentna, a społecznie niemal nieznana. Nie odróżniamy „pijaków” od „alkoholików”. A różnica jest zasadnicza.

Od strony oceny moralnej jesteśmy na terenie tzw. grzechów cudzych. Wszelki brak umiaru skutkuje poszerzaniem się kręgu osób uzależnionych. Co za diabelska loteria!

Aby trzymać się faktów trzeba opisać jak to wygląda od strony ilościowej w aktualnym stanie społeczeństwa polskiego, najlepiej na prostym wykresie. Za chwilę go przedstawię, ale teraz opisowo wskażę jak to się przedstawia. Osób ciężko uzależnionych jest w Polsce 2,2 % dorosłej populacji, z przewagą wśród mężczyzn (4,1 %). Można podnieść ten wskaźnik do 3 %. Do tego dochodzi między 12 a 13 % nieuzależnionych ciężko pijaków. Jeśli pododawać różne osobliwości, to wyjdzie na to, że tych 17 % (może 25%) prezentuje systematyczne i poważne problemy alkoholowe i przysparza sobie i innym wielkiego kłopotu. Pozostałe 3/4 populacji 15+ to albo umiarkowani, albo abstynenci. Ta ostatnia grupa to nawet może być ok. 32 % (definicja – nie pili nic w ostatnim roku).



Ryc. 1. Rozkład stylu spożycia etanolu w społeczeństwie polskim w grupie osób starszych, niż 15 lat. Opracowanie własne na podstawie danych z „Global status report on alcohol and health WHO 2018.

Krzywa spożycia jest bardzo osobliwa, jest to tzw. spożycie skoncentrowane. Aż 40% wszystkich, co używają napojów alkoholowych wypija rocznie ekwiwalent zaledwie 10% średniego spożycia per capita (ok. 1 litra spirytusu na głowę). A jakieś 6% pijących radzi sobie z połową całego wolumenu wypijanego alkoholu. *Wot, młodcy...*

I co się okazuje? Mimo tej powściągliwości (głównie kobiecej), aż w przypadku ok. 60 % badanych zdarza się alkoholowa wpadka w ciągu ostatnich 30 dni (powyżej 60 g etanolu przy jednej okazji dla mężczyzn, 40 g dla kobiet). W tym momencie stają się „pijakami”. I tu jesteśmy na tropie naprawdę istotnego „sedna sprawy”. **To przyzwolenie na upijanie się stanowi faktyczny problem obecnej Polski.** Co to jest upijanie się? To albo picie w okolicznościach sugerujących zupełną abstynencję (ciąża, karmienie, praca, obsługa maszyn, pewne choroby) albo też wypicie przy jednej okazji 60 g czystego alkoholu w przypadku mężczyzn lub 40 g w przypadku kobiet. Daje to stężenie BAC w okolicach 1 promila, zależnie od płci i wagi pijącego.

Właśnie takie picie to przejaw pijaństwa. A to nie alkoholizm, lecz pijaństwo jest naszym problemem narodowym. Epizody nadużywania zdarzają się nawet w tej grupie, którą nazwaliśmy „umiarkowani”, tyle, że są rzadsze.

Traktuję osoby uzależnione jako swego rodzaju heroldów zła jakim jest pijaństwo. Gdyby nie oni, to jak byśmy rozpoznali, że coś jest nie tak z pićm? Oczywiście byłyby wypadki, choroby i inne problemy alkoholowe, ale nasz umysł potrafi się rozprawić z takimi tematami. Tymczasem pewna nieuchronność stanu uzależnienia straszy nawet tęgich pijaków. Alkoholizm to *memento*, ostrzeżenie przed czymś gorszym.

Złem jest pijaństwo (nadużywanie alkoholu), a nie alkoholizm. Alkoholizm to dany nam miłosiernie sygnał ostrzegawczy przed czymś co jest znacznie gorsze – przed pijaństwem.

Sądzę, że ten ostatni wywód całkowicie zaskakuje Czytelników. Trzeba będzie jeszcze dokładniej to wyjaśnić, skoro stawiam tak odważną tezę, że cierpienie uzależnienia to nie jest „ostatnie słowo” alkoholu, że jest coś od tego gorszego. Owszem jest, ale zauważyć to nie zawsze jest łatwo. „Cicha woda brzegi rwie”... Przypomnijmy jeszcze raz „paradoks prewencyjny”.

To samo nieco inaczej...

Ponieważ sądzę, że Czytelników może bardzo zaskakiwać moja teza o „czymś gorszym, niż alkoholizm”, to trzeba to powolutku i wyraźnie wyjaśnić. Z pomocą przyjdzie mi... teologia moralna. W tradycyjnym jej ujęciu rozpatrywano czy różne formy używania napojów alkoholowych są grzechem. Grzech to w ujęciu teologicznym katastrofa – może oznaczać utratę szansy na szczęśliwą wieczność z Bogiem. Jest to zatem coś najgorszego, co może człowieka spotkać, coś gorszego nawet niż choroba, cierpienie czy śmierć fizyczna. W Nowym Testamencie pojawia się dramatyczne ostrzeżenie przed czymś nazwanym „śmiercią wtórą (drugą)”, która następuje wtedy, gdy całkowicie odwrócenie od Boga jako świadomi i dobrowolni grzesznicy w rzeczy ważnej wchodzimy w piekło czyli nieodwracalny stan oddzielenia od naszego celu ostatecznego - Boga. Dawniej bardzo malowniczo i sugestywnie opisywano piekło, dziś jakoś się od tych obrazów odwracamy, ale nie jest tak, abyśmy całkowicie wyzbyli się lęku przed potępieniem wiecznym. Zatem grzech to nadal poważny problem.

Wspomniani teologowie w końcu zgodzili się co do tego, że samo użycie napoju alkoholowego to nie jest podstawa (zazwyczaj) do definiowania tego zachowania jako grzechu (ewentualnie tylko jakiegoś lekkiego, powszedniego). Dopiero spożycie takiej ilości, że wyłącza normalne działanie rozumu jest grzechem ciężkim. Czyli upicie się, pijaństwo. Podstawą takiego orzeczenia była natura ludzka, która jest rozumna. Cenne rozważania na ten temat zawiera traktat etyczny C. Cooka (Cook, 2006). Gdy spacerujemy pod Wawelem, to na tzw. domu Długosza na rogu ulicy Kanoniczej możemy zauważyć łacińską inskrypcję, która głosi, że człowiek nie ma większego daru, niż rozumność. Od czasów starożytnych uznawano rozumność (zdolność do ujęcia prawdy) za cechę wyróżniającą człowieka wśród innych istot żywych. To źródło naszej godności. Przecież wszelkie porównanie człowieka do nierozumnych zwierząt traktujemy jako obelgę, np. „upiłeś się jak świnia”, „bydlę jesteś”, itp..

Posiadanie niezakłóconego działania rozumu wydawało się teologom czymś dla człowieka zasadniczym. I oto z własnej woli człowiek sięga po środki zaburzające działanie rozumu. To wina i to wielka, bo człowiek ma obowiązek dbać o swoją osobową godność, nie powinien jej szargać.

Innymi słowy to sytuacja, gdy się upijam jest złem, niezależnie od jej uwarunkowań (jeśli świadoma i dobrowolna). W przypadku osoby uzależnionej można domniemywać, że jej wolność jest w dużym stopniu wyłączona, że ona „musi”.

Zauważmy, jak bardzo to ujęcie teologów zbliża się do ustaleń nauk społecznych, które głoszą paradoks przewencyjny. To nie uzależnienie jako takie, ale upijanie się jest głównym źródłem kłopotów związanych z używaniem alkoholu. Oczywiście jeśli dużo pije osoba uzależniona, to także powoduje masę kłopotów dla siebie i innych, indywidualnie nawet najwięcej, ale badacze paradoksu przewencyjnego wskazują na znacznie mniejszą liczebność dużo pijących alkoholików w stosunku do dużo pijących nie - alkoholików⁷. Zawsze urzekała mnie ta zbieżność teologii i nauk społecznych.

Tym bardziej, że od lat 60-tych (Jellinek, USA) nauczyliśmy się traktować uzależnienie jako chorobę. Nie uznajemy za grzech np. raka. Ewentualnie możemy uznawać za grzech coś, co do raka prowadzi (np. podobno jedzenie mocno wędzonego mięsiwa, łakomstwo), o ile dana osoba narażałaby się na raka świadomie i dobrowolnie. Chorób nie uznajemy za grzechy, natomiast to, co do nich prowadzi już owszem.

Jak jest z zespołem uzależnienia od alkoholu? Ktoś na przykład miał lat 15 i usłyszał od rodziców stanowcze wymaganie, aby na koleżeńskej imprezie nie sięgał po napoje alkoholowe. Mimo to sięgnął. Raz, drugi i trzeci... Nie wiedział, że w jego genach czai się zagrożenie uzależnieniem, że jest bardziej podatny. A może nie wierzył w te informacje? Przecież to doświadczenie mogło być takie fajne, takie przyjemne (nie zawsze jest, ale zazwyczaj jest przyjemne). Po wielu latach okazuje się, że te kolejne okazje doprowadziły kogoś do pełnowymiarowego, ciężkiego uzależnienia. Teraz już jego wolność jest ograniczona. Zatem o ile zgrzeszył w młodości brakiem roztropności i posłuszeństwa, o tyle teraz już jego picie nie jest wolne. Zatem nie jest grzechem jego alkoholowa choroba. Pozostaje tutaj oczywiście jeszcze pewne miejsce na uchybienie moralne polegające na tym, czy alkoholik chciałby się z uzależnienia wydobyć, czy podejmuje lub nie podejmuje pewne starania w tym kierunku. Świetnie to wyczuwali rosyjscy pisarze (patrz: monolog Marmieladowa w „Zbrodni i karze” F. Dostojewskiego czy „Moskwa Pietuszki” W. Jerofiejewa). Uzależniony czasami bardzo, bardzo chce się wydobyć, choć jest to niezwykle trudne zadanie.

⁷ Lub uzależnionych w stopniu lekkim i umiarkowanym według nowej klasyfikacji DSM-V zakładającej continuum uzależnienia.

A zatem grzech zaginął gdzieś w otchłaniach czasu, bo dokonywał się w bardzo wczesnej młodości. Teraz już nie grzesznik, ale ... chory.

Ta wiedza nie jest powszechna. Nadal traktujemy nadużywających (pijaków) na równi z uzależnionymi (alkoholikami). Tymczasem jest między nimi ogromna różnica. Wspomniałem już, że osoba nieuzależniona ma możliwość stosunkowo łatwego opuszczenia obszaru zagrożeń, nie musi podejmować terapii (choć czasami pewna pomoc w kierunku redukcji spożycia etanolu jest bardzo przydatna). Uzależniony w większości przypadków sam sobie nie poradzi. Wymaga wsparcia osób z zewnątrz, najczęściej w postaci terapii uzależnienia.

I tu wypowiem coś mrozącego krew w żyłach: większość uzależnionych jest skazana na niepowodzenie terapii i odejście z tego świata jakieś 15-20 lat wcześniej, niż powinna biologicznie. Bo terapia jest mało skuteczna, trochę podobnie, jak w przypadku nowotworów. Profesor Erikson (Erikson, 2014) słusznie zauważył wielką zbieżność między tymi dwoma sytuacjami: *mam nowotwór / mam uzależnienie*.

Pewna moda na deklaracje celebrytów o podejmowanym leczeniu mogła nam zakłócić percepcję, bo wydaje się, że ta choroba to przysłowiowa „bułka z masłem”. Tymczasem tylko ok. 35% osób, które dobrowolnie (!) przejdą profesjonalną i odpowiednio intensywną terapię uzależnień zatrzymuje swoje picie. Pozostali nie. Nie udaje się też kogoś przymusić do skutecznej terapii. Zwykle taka przymuszona osoba z niej wypada i to bardzo szybko. A ponadto w życiu tych 35 % „zaleczonych” będą pojawiać się tzw. nawroty („wpadki”), czasami przeżywane bardzo boleśnie. Z tego się tak łatwo nie wychodzi. Prawdę mówiąc może raczej mają ci, co twierdzą, że... nigdy się nie wychodzi definitywnie?

Członkowie grup samopomocowych mają zwyczaj porównywania uzależnienia z kiszeniem ogórków. Mawiają: „Z kiszzonego ogórka nie zrobisz już świeżego”. Zestaw czynników biologicznych, psychologicznych, socjalnych i duchowych składających się na pułapkę uzależnienia jest tak silny, że na każdego uzależnionego, który zatrzymał chorobę (bo nie „wyleczył się”) patrzę jak na jakiś cud. To raczej rzadkie wydarzenie, chociaż możliwe. Jeszcze sto lat temu uważano, że nie jest to możliwe, że to wyrok śmierci. Nie było ŻADNEJ metody pomocy, szukano czegokolwiek. Dziś wiemy, że pomoc istnieje, że można ten zespół okiełznać, ale wiemy też jak to jest trudne. W rezultacie skuteczną pomoc otrzymuje niewielu. Zawsze powinniśmy mieć nadzieję, ale powinniśmy też być realistami i w pełni pojmować, że udana terapia to dla wielu (dla większości) jak wspinaczka na szklaną górę.

To trochę jak wyrok. Czy nie jestem zbyt surowy i nie gaszę czyjejś nadziei? Lepsza jest prawda, tym bardziej, że nie twierdzę, że „wyjście z uzależnienia” jest niemożliwe, twierdzę jednak, że zdarza się dość rzadko i wymaga dużego nakładu sił od delikwenta i jego otoczenia. Mamy do czynienia z pewnym złudzeniem wynikającym z prezentowania w mediach ludzi, którym się to udało. Niejasno wiemy coś (co?) o jakimś AA, mylnym z klubami abstynenta (stąd „kluby AA”, które... nie istnieją, nie ma czegoś takiego). Tak jak mało wiemy o np. schizofrenii czy depresji, tak mało wiemy o „zespole uzależnienia od alkoholu” i jego powadze. Ta sprawa obrasta mitami. Nie wiemy, dla przykładu, jak niewielu ludzi „załapuje się” na ofertę wspólnoty AA. W USA jest ciekawy zwyczaj, że sędzia może „skazać” uzależnionego na określoną ilość obecności na spotkaniach (mitingach) AA, np. 40. Sądzie Państwo, że ci, co to odsiedzą „nawracają się”, „leczą się”? Zazwyczaj nie.

W Rzymie był zwyczaj, że mieszkający tam Żydzi musieli przymusowo wysłuchiwać kazań we wskazanych kościołach, aby się stali chrześcijanami. Działo się? Rzadko kiedy. Podobnie z AA – ok. 10 % tych, co tam trafili pozostaje na jakiś czas i usiłuje coś ze swoimi problemami zrobić. Przecież wystarczy zrobić prosty rachunek. W Polsce jest ok. 2500 czynnych grup AA (różne katalogi podają różną liczebność – od 2000 do 4000). Jeśli grupa liczyłaby np. 15 osób (dość dużo, zwykle znacznie mniej), to dawałoby ok. $2500 \times 15 = 37\,500$ osób wspierających się pracą tej wspólnoty. Czy tylko tyle jest w Polsce uzależnionych? Z prostej kalkulacji wynika, że tylko 1 na 18 uzależnionych w stopniu ciężkim próbuje oprzeć się na tym programie. W rzeczywistości jeszcze znacznie mniej. Zazwyczaj nawet jeśli tam na chwilę wpadną, to posiedzą i już ich nie ma. Mówią: „to nie dla mnie, o jakiejś Sile Wyższej tam knocą, to jakaś sekta”.

Mamy zatem te 35% „zatrzymanych” o ile przejdą dobrowolnie pełną terapię i te 10% AA - owców. Mało, bardzo mało. Mam wielu serdecznych przyjaciół będących uzależnionymi, którym udało się powstrzymać zaburzenie uzależnienia. Bardzo ich cenię, ale widzę, że każdy z nich to chodzący cud. Tymczasem społeczeństwo błędnie uznaje, że jak się ktoś zapłacze, to pójdzie sobie do AA i tam mu pomogą, albo pogada z jakimś psychologiem, albo coś mu wstrzykną / wszyją i będzie dobrze. Nie, przeważnie nie jest dobrze. Zdecydowana większość uzależnionych nie jest w stanie (z różnych względów) zatrzymać tej choroby. Pomimo wszelkich strasznych (naprawdę strasznych) cierpień. Słusznie mawiają, że to „choroba śmiertelna”. Jak nowotwór (w większości przypadków, bo typów nowotworów jest kilkaset i nie wszystkie jednakowe).

Zatem osoba uzależniona jest widocznym znakiem, że łamanie zasad związanych z używaniem napojów alkoholowych źle się kończy. To „heroldowie”, „posłańcy”, widomy znak bliskości zła, ostrzeżenie. Niosą na barkach ciężar za wielu innych, którym „się udało”.

Co „się udało” nieuzależnionym pijakom? Udało się uniknąć jednego ze skutków pijaństwa, ale czy wszystkich? Jest tyle cierpienia związanego z alkoholem, które jest powodowane przez pijaków, ale oni boją się jedynie... uzależnienia (jeśli czegoś się boją). „Hulaj dusza, piekła nie ma!” Czy faktycznie „piekła nie ma”?

Założmy, że teologowie moralni mają rację i pijak (czyli dobrowolnie i świadomie nadużywający) grzeszy ciężko. Każdy umrze, on też. I oto staje na boskim sądzie... a tu brak dyspozycji do zbawienia wiecznego, jeśli nie brać pod uwagę tzw. apokatastazy. Pamiętajmy jednak, że Kościół, chociaż orzeka o czyjejś świętości, to nigdy nie orzekł i nie orzeka o czyimś potępieniu wiecznym. To tajemnica. Jednak nie usuwa ona kwestii sprawiedliwości i słuszności moralnej.

Spółeczeństwo doznaje stale wielkiej ilości cierpień z powodu nadużywania alkoholu. Nawet jeśli wizja teologów byłaby błędna (sądzę, że jest jak najbardziej prawdziwa), to dostatecznie dużo „piekła” importujemy sobie w życiu doczesnym. Alkoholicy są zaś tak oczywistym tego znakiem, że stanowią stałe ostrzeżenie przed całym zjawiskiem pijaństwa i jego rozlicznymi skutkami, które chętnie „zamiatamy pod dywan”. W tym sensie nazwałem ich „heroldami”. Gdybyśmy zechcieli zrozumieć ten sygnał okupiony cierpieniem ich i ich rodzin!

Co mnie to obchodzi?

...Opisana sytuacja odnosi się do postulatu etycznego rozwoju społeczeństwa. Słusznie uznajemy społeczności, które nie szanują i nie chronią swoich najsłabszych członków za prymitywne i barbarzyńskie. Można powiedzieć, że uniwersalną misją i kierunkiem rozwoju każdego społeczeństwa jest solidarność z najsłabszymi członkami społeczności. Widzieliśmy jakie kontrowersje spowodowała decyzja kilku państw, aby zastosować „ocenę przewidywanej długości i jakości życia” w momencie, gdy lekarze nie mogli opanować ilości zgłoszeń chorych wymagających intensywnej kuracji podczas epidemii. Ale współczesne społeczeństwa bywają zastanawiająco mało solidarne. Wskazuje na to praktyczne poparcie dla eutanazji. Znamy takie nastawienie chociażby z lat 30-tych, gdy Niemcy hitlerowskie prowadziły „akcję T” czyli eksterminację 300 000 osób chorych psychicznie (lub za takie uważanych). Znamienne, że niekiedy nawet same rodziny prowadziły na faktyczną rzeź

swoich niepełnosprawnych członków, w tym dzieci. Było to bowiem „*życie niewarte życia*”. Te wydarzenia odsłaniają stan barbaryzacji etycznej wielu europejskich społeczeństw. Ale czemu się dziwić po dziesiątkach lat wojen (np. wojna trzydziestoletnia) czy po oparciu rozwoju ekonomicznego na niewolnictwie i wyzysku. Przecież jeszcze w XX wieku mieliśmy apartheid i segregację. Dlatego fraza użyta w podtytule – „co mnie to obchodzi?” jest, niestety, popularna.

Co mnie obchodzi, że ktoś bardziej wrażliwy może z powodu mojego stylu życia popaść w ciężkie tarapaty? Przecież muszę mieć dostęp do źródła tej „boskiej przyjemności” opartej na używaniu alkoholu. Moje upijanie się jest moje i nikomu nic do tego.

Sekunduje temu nastawieniu dążenie biznesu do osiągania zysków (dość naturalne dla biznesu). Miałem kiedyś ciekawą rozmowę z przedstawicielem biznesu alkoholowego (oficjalnym). Po jednej z konferencji sejmowej powiedział mi tak:

„ Co Pan chce! Ograniczenia w obrocie alkoholem będą miały złe skutki, wiele osób straci pracę. A przecież MY NIE MAMY NIC WSPÓLNEGO Z TĄ CAŁĄ PATOLOGIA! (podkreślenie moje).

Jak powstaje „ta cała patologia”?

Dociekania nasze pomijają dość ważną kwestię cierpień osób bliskich uzależnionym – matek, siostr, mężów, żon, dzieci. Przecież to kilka milionów osób, których życie zostało zdewastowane przez dojmujące cierpienie towarzyszenia w życiu osobom uzależnionym. Z powodu chronicznego stresu zwłaszcza dzieci w rodzinach z problemem alkoholowym (szacuje się ich liczbę na ok. 1,5 - 2 mln w Polsce) są narażone na wczesną inicjację alkoholową, gdyż zwyczajnie szukają ulgi emocjonalnej. A jak wspomnieliśmy, to one często są „nosicielami” genów zwiększonej wrażliwości na uzależnienie (tzw. efekt teleskopowy).

A zatem: jest sobie jakieś małe dziecko w rodzinie, gdzie ktoś jest uzależniony (zwykle ojciec). Temu zjawisku towarzyszy często zjawisko przemocy w rodzinie, ale nawet bez tego akcentu jest to źródło niepewności, cierpienia, lęku. Silny i stały stresor wysysający zasoby osobiste dziecka. Dowiaduje się ono, że użycie substancji psychoaktywnej (choćby takiej jak rozpuszczalniki, „kleje” – narkotyk 7 – latków) na chwilę usuwa złe samopoczucie. Zatem próbuje i doznaje wczesnej inicjacji – alkoholowej, nikotynowej, czasem narkotykowej.

Włączają się wspomniane mechanizmy zwiększonej biologicznej podatności i znacznie szybciej, niż rówieśnicy wchodzi ono w proces uzależnienia. Po stosunkowo krótkim czasie (np. kilku miesięcy) przekracza już barierę uzależnienia w stopniu lekkim, potem w umiarkowanym i w końcu ciężkim. Jego obietnice dawane samemu sobie – „Nie będę pił, jak mój stary!” - nie spełniają się. Staje się osobą uzależnioną, zwłaszcza jeśli podjęte sposoby adaptacji („role społeczne” , np. dziecka kozła ofiarnego) dodatkowo obciążały ryzykiem.

Według znanej terapeutki uzależnień, Claudii Black (Black, 1987), aż 2/3 uzależnionych od alkoholu osób, które leczyła, przeszło taką właśnie drogę. Po odbyciu terapii uzależnienia musiały następnie szukać pomocy z powodu swojej sytuacji DDA –Dorosłego Dziecka Alkoholika. Mieli dwie choroby, dwa „zespoły”, a nie jeden!

Jeśli jakieś społeczeństwo pije dużo, często, bezkrytycznie, jeśli gardzi umiarem i promuje pijaństwo, to wzmacnia ono zakres i tempo takich indywidualnych negatywnych procesów. Ci z nas, którzy mówią „Co mnie to obchodzi?” i kultywują styl życia oparty na upijaniu się (choćby od czasu do czasu) ponoszą odpowiedzialność za wchodzenie w uzależnienie tych właśnie najsłabszych bliźnich (Kapica, 1933). A ci, którzy na tym zarabiają mówią : „Nie mamy nic wspólnego z tą całą „patologią”. Przecież ci obarczeni ryzykiem mogli nie pić, mogli nie podjąć ryzykownego zachowania. Jak chociażby profesor Wojcieszek, który chociaż geny i inne czynniki ryzyka miał, to jednak się nie uzależnił, bo został bardzo wcześnie abstynentem. Zatem „patologia” sama sobie winna i już.

Otóż nie. Wobec określonych grup dane społeczeństwo winno być solidarne. Świetnie to ujmuje pewien obraz obecny w Nowym Testamencie, w listach Pawłowych. Święty Paweł tłumaczy tam adresatom, że w ich zachowaniu trzeba brać pod uwagę dobro bliźnich (chodziło o zgorszenie z powodu jądania mięsa z ofiar pogańskich przez chrześcijan). Coś, co nie jest samo w sobie grzechem, może się takim stać ze względu na ignorowanie dobra bliźnich. „Co mnie to obchodzi?”, że jakieś tam maltretowane dziecko z rodziny alkoholików będzie samo na drodze uzależnienia, a jego życie stanie się pasmem nieustannego cierpienia? To nie moje dziecko...

Rezygnacja z tego fragmentu uniwersalnej misji KAŻDEGO społeczeństwa powoduje, że całość odwraca się od wszelkiej solidarności. Nie jesteśmy już wspólnotą, ale Hobbesowskim stadem wilków, w którym wszyscy walczą ze wszystkimi („*Homo homini lupus est*” , „Człowiek człowiekowi wilkiem”). Widzieliśmy tego przejawy, gdy egoiści atakowali lekarzy i pielęgniarki z sąsiedztwa bojąc się zakażenia koronawirusem. W przypadku Polski

sprawa jest o tyle ciekawa, że szczerzymy się słusznie naszymi związkami z ideą solidarności (NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, 1980). Taki pierwiastek, jak solidarność jest obecny w naszej tradycji, ale gdy z egoistycznych powodów rezygnujemy z faktycznej solidarności i ochrony najsłabszych - żegnamy się z tym cennym dziedzictwem. Przestajemy być Polską opartą na fundamencie solidarności. A przecież obecnie jest to jedna z podstaw, przynajmniej formalnie, wedle oficjalnych deklaracji, naszej narodowej i obywatelskiej wspólnoty.

Brak solidarności skutkuje ogromnymi kłopotami, bo dochodzi do głosu egoizm i zło. Pojawiają się konflikty, zamieszki, wojny domowe... Kraj staje się słabszy, co szybko odczytują inni „egoiści z sąsiedztwa”. I rzadko kiedy rezygnują z nadarzającej się okazji. Czy nie tak potoczyły się polskie losy w XVIII wieku?

Wniosek: tolerując pijaństwo w kulturze i obyczaju niszczyliśmy solidarność społeczną z najsłabszymi. Rezygnujemy z wartościowego kierunku rozwoju społecznego, ze szlachetnej misji stawania się społeczeństwem solidarnym.

Dodajmy, że w rezultacie sami też cierpimy, gdyż obecność kilkuset tysięcy grupy uzależnionych w oczywisty sposób skutkuje wieloma problemami. Paradoks przewencyjny nadal jest aktualny, ale przecież osoby uzależnione, które piją, bardzo często powodują różne ciężkie problemy na równi z pijakami nieuzależnionymi. Jeśli wspomnieliśmy o proporcji: 1 uzależniony na 3 nieuzależnionych, to nadal pozostaje 4 pijaków (z czego jeden chory, a pozostali nie).

Z punktu widzenia społecznego jeśli ci 4 (1+3) powodują na przykład straty materialne, to dopadają te straty wszystkich nas, całe społeczeństwo. Szacuje się, że w Polsce jest to przynajmniej ponad 30 mld złotych rocznie czystych strat ekonomicznych. I tak społeczeństwo, które przyjmuje postawę „co mnie to obchodzi?” doznaje cierpień z powodu braku solidarności z najsłabszymi (w aspekcie podatności na uzależnienie). Zanim uzależniony zejdzie przedwcześnie z tego świata zdąży wyrządzić wiele szkód. Jego kariera czynnego alkoholika trwa bowiem jakieś 30 – 40 lat. Schodzi z tego świata wcześniej, ale nie od razu (żyje jakieś 15-20 lat krócej, ale średni wiek Polaka to 76 lat). Nie da się poczekać, aż wszyscy uzależnieni wymrą. Do puli dochodzą sukcesywnie następni.

To jak dobrze zaprojektowany mechanizm, w którym do grona uzależnionych dorzucamy kolejne osoby w wyniku przyjętego wzorca ogólnej pijackiej kultury. Obecnie tak się sprawy

mają w naszym kraju. Uczymy się samoizolacji w związku z wirusem i rozumiemy, że trzeba tak działać. A w sprawie alkoholu? O tym zapominamy...

III. Model misji oparty na pojęciu relacji osobowych.

Alkohol a miłość – trzeci model misji Polski.

Zajęliśmy się pragmatycznym modelem misji (trwać materialnie), także modelem etycznej supererogacji (ochrona najsłabszych członków społeczności). Pora na jeszcze cięższy kaliber: model misji skierowanej do podejmowania i utrwalania więzi osobowych wszystkich członków społeczności. Dosłownie wszystkich. Interesować nas będzie to w jaki sposób nadużywanie alkoholu wpływa na stan więzi społecznych, na stan miłości społecznej.

Miłość opisują różne nauki. Najczęściej odwołujemy się do socjologii, psychologii i etnografii, rozumiejąc ją dość materialistycznie (a nawet redukując do więzi seksualnych). Jednak najgłębsze ujęcie oferuje filozofia i teologia (Gogacz, 2008). W klasycznej antropologii filozoficznej miłość interpretowana jako relacja osobowa obejmuje wiele odmian: miłość erotyczną (łac. amor), miłość przyjacielską (łac. amicitia), miłość matczyną (łac. caritas) i wreszcie miłość boską, absolutną (gr. agape). Myśliciele poświęcają miłości wiele uwagi, wyczuwając, że ma dla ludzi zasadnicze znaczenie. Bez miłości życie traci smak. Dodajmy, że w ujęciu najbliższym autorowi miłość jest wzajemnym przystosowaniem bytowym, które jest reakcją na realność (transcendentalne realności) drugiego osobowego bytu. Nie sprowadza się do uczuć, ma odrębny status bytowy. Uczucia są jakby akompaniamentem cielesnym relacji miłości, jakby ceną domieszki. Czasem nawet uczucia potrafią ją zniszczyć. Romantyzm zdaje się szkodzić miłości (patrz: refleksje prof. Wojciszke we wstępie do „Psychologii miłości”(Wojciszke, 2009). W ujęciu filozoficznym relacja osobowa miłości buduje się na istnieniu i jego ochronie. „Dobrze, że jesteś!” to hasło tak rozumianej miłości.

Czy jest jakiś związek między alkoholem, a tak rozumianą miłością jako relacją osobową? Z pozoru picie zdaje się miłość umacniać, zwłaszcza tę przyjacielską. Co do erotycznej, to stwarza pewien kłopot, gdyż znosząc chwilowo granice i samokontrolę powoduje wiele nieoczekiwanych perturbacji, zwłaszcza zwiększając ilość nieoczekiwanych kontaktów seksualnych i ich skutków (zarówno złych, jak choroby, jak i ewentualnie dobrych). Cóż, wiele tak nawiązanych znajomości szybko przechodzi do historii pozostawiając smętny osad.

Natomiast powiązania alkoholu z miłością przyjacielską stanowią zagadkę. Wydaje się, że do momentu do którego nie mamy do czynienia z nadużywaniem (przypominam, że daje się to zmierzyć, nie jest subiektywne) kilka lampek wina czy kufelek piwa nie powodują z tego punktu widzenia złych skutków. Z wódką już jestem ostrożniejszy, bo jej stężenie powoduje trudność w zapanowaniu ilościowym. Użyłem słowa „wydaje się” opierając się na potocznych obserwacjach i wątkach kulturowych. Sprawa wymaga bowiem dokładniejszych badań z zakresu psychologii relacji. Jeśli tak by było, to obecność napojów alkoholowych w kulturze byłaby z tego punktu widzenia ambiwalentna, czasem szkodliwa, a czasem pomagała w relacjach. Byłby to ruch na pewnym continuum, gdzie punktem granicznym byłoby upijanie się (okoliczności lub 60/40 g – uważni Czytelnicy już wiedzą co znaczy obiektywnie słowo „upicie się” czy nadużywanie). Jeśli jednak przyjrzymy się dokładniej działaniu alkoholu etylowego na organizm ludzki możemy nabrać pewnych wątpliwości czy rzeczywiście napoje alkoholowe mogą wzmacniać relację miłości, nawet w niskich stężeniach.

Pozostawmy na boku zjawiska powstające przy niskich stężeniach etanolu i skupmy się na tym, co się dzieje, gdy jest go nieco więcej (więcej, niż 60/40 g). Wtedy unikniemy przysłowiowego dzielenia włosa na czworo, bo zjawiska będą wyraźniejsze.

Picie jako szkoła egoizmu?

Etanol powoduje w ludzkiej psychice silne efekty działając dwójako – poprzez zmianę lepkości błon komórkowych (tzw. działania niespecyficzne, które deformuje funkcje wszystkich receptorów komórkowych; etanol działa wtedy jak detergent) i poprzez zmianę określonych ścieżek specyficznej transmisji nerwowej. Jest tych mechanizmów dużo i są dość skomplikowane. Te drugie opierają się na modyfikacji działania synaps pracujących w oparciu o dopaminę, serotoninę, GABA i inne neurotransmitery. Również poprzez wywoływanie wydzielania endorfin. Nie zagłębiając się w molekularne zawiłości (choć autor jest również biologiem molekularnym i sam badał działanie receptorów komórkowych) można stwierdzić co jest ostatecznym efektem ścieżki specyficznej: poczucie odprężenia (GABA), poczucie wesołości (serotonina), poczucie przyjemności/euforii (dopamina, endorfina). Same dobre rzeczy, nieprawdaż? Nieprawdaż, jeśli pamiętamy o zmienności tych procesów w miarę rosnącego stężenia etanolu w płynach ciała. Działanie alkoholu nie jest stałe. Od początkowej euforii prowadzi, przy większych stężeniach nawet do stanów depresyjnych (picie jest czynnikiem ryzyka depresji - wiedzieliście to?). Zatem nie tylko

potrafi rozweselać, ale też... zasmucać. Zależnie od stężenia i innych czynników. Czyżbyście nie znali tych, co upijają się „na smutno”? A tych po drinku agresywnych? Ogólnie trzymanie się niskich stężeń jest gwarancją, że takie „niespodzianki” nas nie zaskoczą. Wesołość tak, smutek nie!

Jednak nie to jest najważniejsze, lecz zdolność etanolu do skupiania uwagi na określonych przeżyciach, całkowicie subiektywnych. Innymi słowy, nawet gdy przeżywamy po drinku poprawę samopoczucia, to jest to nadal i wyłącznie NASZE samopoczucie, a nie kogoś innego. Nie mamy gwarancji, że ktoś, kto z nami pije przeżywa to samo, co my i też jest odprężony. Widać to na przykład w zróżnicowaniu efektów inicjacji alkoholowej. Dla jednych „ten pierwszy raz” jest miły, dla innych paskudny. Reakcje na etanol są zróżnicowane, indywidualne.

Założmy jednak, że nasze intuicje są prawidłowe i wszyscy co piją przeżywają to tak samo i z założenia przyjemnie. Nawet wtedy to my sami nadal stanowimy jedyny podmiot przeżyć. Im silniejsze działanie euforyczne etanolu (większa przyjemność), tym silniej skupia nas na sobie samych. W swoich poprzednich pracach (Wojcieszek, 2005; Wojcieszek, 2010) zawarłem myśl, że skutkuje to zwrotem ku sobie samemu, koncentracją na własnych przeżyciach. I w zasadzie nie może być inaczej. Ponadto, poza zwrotem ku sobie samemu, etanol dodatkowo skupia nas na tym, co w nas materialne, zmysłowe, przeżyciowe. Stajemy się na chwilę, z jego pomocą, „zmaterializowanymi egoistami”. Użyłem tego określenia jako podręcznej formy wyjaśnienia co się dzieje, a nie jako podstawę wartościowania. Mamy prawo przeżywać indywidualnie przyjemność (niby jak inaczej?) i skupiać się na tych przeżyciach.

Aby lepiej wyrazić, o co mi chodzi odwołam się do innych rodzajów przyjemności, na przykład płynących z jedzenia. Jeśli jesteśmy naprawdę głodni i słyszymy: „Obiad podano”, to z powodu naszej natury skupiamy się na tym fakcie, aby następnie z przyjemnością i w skupieniu spożyć ów obiad. Im byliśmy głodniejsi, tym bardziej skupiamy się na swoich potrzebach, które są zaspokajane, a z tych czynności płynie duża przyjemność. I nadzieja na energetyczną homeostazę organizmu.

O ile jednak w przypadku jedzenia w pewnym momencie włącza się mechanizm ujemnego sprzężenia zwrotnego i nasz apetyt gaśnie po zaspokojeniu potrzeb, o tyle w przypadku etanolu już nie. Skoro przyjemność z drinka była tak znaczna, to chyba z dwu drinków będzie większa? A skoro z dwu była znaczna, to może z trzech będzie jeszcze większa? Eksperymentujemy i niekoniecznie się zatrzymujemy. Ta niezdolność do wyhamowania jest

jednym z symptomów procesu uzależnienia, ale jako taka pojawia się u wielu ludzi bez związku z tym negatywnym procesem. Po prostu jest to poruszanie się po lodzie, na którym trudno wyhamować.

Oczywiście dzieje się tak, jeśli drink sprawia nam przyjemność. Nie zawsze tak jest. W Polsce ok. 10% osób nie odczuwa przyjemności z powodu wypicia drinka, wręcz przeciwnie. W Japonii takich osób będzie nawet 40%. Jest to spowodowane układem enzymów z grupy dehydrogenaz, które rozkładają etanol. Mamy cały ich zestaw, ale zróżnicowany. Są osoby, które bardzo szybko rozkładają etanol do aldehydu octowego, ale utlenianie aldehydu idzie wolno. W takim przypadku osoby takie mają „natychmiastowego kaca”, bardzo źle się czują, tak, jakby wypily coś mając wszyty esperal (disulfiram). I są inne osoby, które etanol rozkładają wolno (gromadzi się wtedy i działa), a aldehyd rozkładają szybko. Wtedy nie odczuwają „natychmiastowego kaca” i mogą delektować się drinkiem przeżywając bez zakłóceń owe przyjemności z jego konsumpcji. Różnice są genetyczne. Po prostu nasze enzymy są kodowane przez nieco inne geny w obu przypadkach. Nauczyliśmy się rozpoznawać tę naszą biologiczną różnorodność i jest wiele badań obrazujących duże różnice etniczne zestawu dehydrogenaz. Wpływa z nich wniosek, że są ludy, plemiona, narody, które z powodu tych różnic inaczej reagują na etanol w ich organizmie – jedni z przyjemnością, inni z przykrością.

Polakom to się w głowie nie mieści, bo należymy do tej kategorii ludzi, którzy takiego natychmiastowego kaca nie mają (w większości, bo i u nas żyją osoby z tym drugim zestawem, ale są nieliczne). Swoją drogą wspomniane badania są bardzo ciekawe i pokazują wpływ podłoża biologicznego na obyczaje. Może dlatego w Azji etanol nie cieszył się takim powodzeniem, jak w Europie? Zapewne tak było.

Wracając do naszej kwestii zasadniczej. W przypadku Polaków większość przeżywa miłe chwile po drinku. Zakładamy, że inni tak samo. Ale nie zauważamy, że te przeżycia koncentrują nas na sobie samych i że mają bardzo cielesny charakter. Sytuują się na obszarze życia uczuciowego człowieka. Efekt? Spadek zainteresowania wszelkimi innymi źródłami satysfakcji, w tym wynikającymi z relacji z drugim człowiekiem.

W pewnych eksperymentach nauczono szczury laboratoryjne pić roztwór etanolu (piły coś w rodzaju wódki, to tzw. model zwierzęcy). Okazało się, że potem wybierały poidelko z ową wódką, a nie z czystą wodą, zdecydowanie dla nich zdrowszą. Jeśli przenieść to jako metaforę na grunt ludzkich przeżyć, to można stwierdzić, że niekiedy ludzie osiągają taki stan, w

którym źródłem satysfakcji nie jest już wspólnota, lecz indywidualne przeżycia związane z picciem. Bywa to zaskakującym składnikiem życia np. małżeńskiego, kiedy okazuje się, że ktoś woli wypić, niż się przytulić. Dlatego nazwałem picie „szkołą egoizmu”.

Wątpiący mogą zauważyć, że przecież alkohol cementuje grupy jego konsumentów i właśnie zbiorowe picie stanowi obyczaj (patrz: Kmicicowa kompania i jej balangi w „Potopie” Sienkiewicza). Czy nie jest tak, że pijący szukają towarzystwa podobnych sobie? Tak, zwłaszcza wśród nadużywających jest to silne pragnienie potwierdzenia słuszności własnego zachowania przez utworzenie swoistego „klubu pijaków”. Jest na tą okoliczność ciekawa teoria socjologiczna dobrze opisana przez dr Ireneusza Kaczmarczyka w pracy „*Wspólnota Anonimowych Alkoholików w Polsce. Alkoholowe dno i co to znaczy trzeźwieć*” (Kaczmarczyk, 2008). Odwołuje się tam do godnościowej teorii regulacji zachowania Kosewskiego (s. 35-41). Niepewni czy ich picie nie narusza godności ludzkiej nadużywający etanolu szukają aktywnie podobnych sobie. Nie jest to jednak prawdziwa wspólnota, lecz jakaś „pseudowspólnota” dla ugaszenia niepokoju, że coś jest nie tak.

Twierdzę, że ta koncentracja na własnych przeżyciach w rzeczywistości odsuwa ludzi od siebie w sensie relacji osobowych czyli niszczy miłość jako odpowiedź na *transcendentale* aktu istnienia drugiej osoby. Dzieje się tak zawsze gdy uczucia są zbyt silne. Na przykład bardzo silne skupienie się na potrzebach seksualnych również może zniszczyć miłość, która „wygasa” tym szybciej, im aktywniejsza była „konsumpcja seksualna”. Czasem tak szybko, że, dajmy na to, gwałciciel woli zabić obiekt seksualnej satysfakcji tuż po „konsumpcji”. Tak się przecież działo przy okazji wojen, również ostatniej światowej. Masowe gwałty i masowe morderstwa. Uczucia i satysfakcja silne, miłości brak. Nie dostrzegamy tego aspektu, bo współcześnie straciliśmy rozumienie miłości jako relacji osobowej, jako rzeczywistości duchowej. Rozumiemy ją materialnie, w gruncie rzeczy redukując do różnorodnych cielesnych przeżyć, do uczuć. W klasycznej antropologii uczucia były związane z cielesnością jako „*zareagowanie władz zmysłowych na wyobrażenie dobra lub zła cielesnego*”. Precyzyjnie rozumiano ich naturę jako reakcji cielesnych, podlegających tzw. habituacji (naturalnemu zanikaniu). Etanol kieruje nas ku własnemu ciału, które coś przeżywa. I to silnie przeżywa.

Może to przyjąć postać błędnego koła z dodatnim sprzężeniem zwrotnym (Wojcieszek, 2005; Wojcieszek, 2010): kolejne skierowania ku własnemu ciału redukują skierowania duchowe ku innym osobom. To prowadzi do przewagi strony cielesnej w relacjach. To z kolei wzmacnia

potrzebę kolejnych wzmocnień czysto cielesnych. Nazywam to cyklem rozpacz wzmocnianej etanolem. Jeśli etanol jest nadużywany, to powoduje ruch człowieka ku samotności i ku rozpacz (stopniowy stan braku miłości jako relacji osobowej).

Widać to tzw. gołym okiem, kiedy rozważymy destrukcję jaką etanol wprowadza w różne wspólnoty, zwłaszcza rodzinne. Wspomniałem już wcześniej, że najczęstszym rodzajem zabójstwa jest w Polsce zamordowanie kompana wspólnej balangi alkoholowej lub zabójstwo na kanwie przemocy generowanej w związku z alkoholem. Znaczna część rozwodów nadal ma podstawę w skłonności do kieliszka, zwykle męża (zwanego czasem – partnerem). Jest zapewne wielu ludzi, którzy żyją z innymi siłą rozpędu, ale już dawno stracili realne zainteresowanie budowaniem z nimi wspólnoty osobowej. Alkohol dezintegruje wspólnoty, doprowadza je do zaniku. Z powodu swoich szczególnych własności psychoaktywnych.

Wybitny polski teolog, Ojciec Profesor Jacek Salij opublikował jeszcze w latach 80-tych (Salij, 1983) niezwykle zbiór esejów „*Rozpacz pokonana*” (Salij, 1983, s. 266 - 273). Dał tam świetny opis społeczeństw współczesnych pogrążonych w rozpacz. Od tego czasu procesy te nawet się nasiliły. Ostatnio badano poczucie szczęścia nastolatków europejskich w ramach znanego programu badawczego OECD PISA (program cyklicznie bada postępy młodzieży krajów rozwiniętych w nauce, rodzaj ewaluacji dydaktyki). Okazało się, że w wielu przypadkach młodzi są pogrążeni w smutku i depresji, które zagłuszają, między innymi, sięganiem po ryzykowne zachowania. Salij uważał, że proces rozpacz w skali społecznej może być ukryty, niejawny, ale mimo to destrukcyjny, a nawet powszechny. Spoglądam na współczesne społeczeństwa i widzę realność tego opisu. Jeśli jest prawdą, że nadużywany etanol wzmaga rozpacz, to gdzie idziemy? Około 2/3 przejawów przemocy domowej ma podłoże alkoholowe. A narastające osamotnienie czy depresja? Analizy pokazują, że z powodu nadużywania alkoholu wzmaga się i będzie się wzmagać zasięg depresji w Europie. Co prawda depresja to nie jest w ścisłym sensie rozpacz (rozpacz to pojęcie filozoficzne, a nie psychiatryczne), ale trudno całkiem je oddzielić w życiowym planie. Inne badania wskazują na to, że u podłoża procesu uzależnienia leżeć mogą osobiste traumy uzależnionych. Wszystko to podważa popularny pogląd, że alkohol cementuje wspólnoty i uszczęśliwia ludzi. Bywa wręcz odwrotnie...

Wniosek: nadużywanie napojów alkoholowych dezintegruje wspólnoty ludzkie i staje się powodem zaniku miłości jako relacji osobowej, co bywa przeżywane jako rozpacz.

Pozostawiam Czytelnikom prowadzenie obserwacji jakościowych w swym otoczeniu. Jako Polak oczywiście życzę sobie, aby moja ojczyzna nie była światem rozpacz. Aby różne rodzaje miłości w niej kwitły, bo czym jest tzw. miłość ojczyzny, jeśli nie sumą tych wszystkich naszych miłości? Jeśli one zanikają, to jak ona ma się ostać? Łatwo może dojść do sytuacji, gdy już nam na niczym nie zależy...

IV. Misja Polski w ujęciu poziomym życia religijnego.

Religia jako konsekwencja humanizmu.

W naszych rozważaniach o misji Polski doszliśmy do najważniejszych zagadnień, ściśle duchowych. Zajmują się tym różne nauki: psychologia i socjologia religii (nastawione dość krytycznie i raczej materialistycznie), filozofia i tradycyjnie teologia. Ujęcie misji Polski w tym wymiarze nie jest rzadkie. Liczne ustalenia znajdziemy w tekstach o największym zasięgu, w kazaniach wielkich postaci, jak bł. Bronisław Markiewicz, św. Maksymilian Maria Kolbe, bł. Stefan Kardynał Wyszyński, św. Jan Paweł II, Sługa Boży ks. prof. Franciszek Blachnicki. Mieliliśmy na szczęście bardzo wielu proroków czuwających nad narodem poddawany ciężkim próbom. Wszyscy oni wskazywali na to, że ziemską ojczyzna jest po to, aby się zbawić. Ich wizja przypominała wizję drogi Izraelitów kroczących ku Ziemi Obiecanej z egipskiego domu niewoli. Cel ostateczny człowieka – zbawienie wieczne - jest celem dla wszystkich ludzi i zawsze naczelnym. Wszystko jedno w jakiej doczesnej wspólnotcie żyjemy, to wieczność z Bogiem jest naszym naturalnym dążeniem i przeznaczeniem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jest wielu takich, których moje stwierdzenie oburzy. To różni praktyczni (częściej) czy teoretyczni (rzadziej) ateści czy agnostycy. Wolno im tak myśleć, człowiek ma swobodę w tym zakresie, której nawet Bóg nie narusza. Ale mnie wolno stwierdzić z mocą: naturalnym dążeniem i celem każdego człowieka jest wieczność z Bogiem, niebo, wieczne życie, przebóstwienie, Boże synostwo.

Oczywiście za taki rezultat życia każdy z nas jest indywidualnie odpowiedzialny, to podróż na własną rękę, ale nie bez znaczenia są otaczające nas okoliczności. Mogą ułatwiać lub utrudniać osiągnięcie tego celu.

Polska od ponad tysiąca lat żegluje jako wspólnota do tego właśnie celu. Jesteśmy w większości chrześcijanami, a co więcej – katolikami czyli członkami Kościoła Rzymskiego. Większość Polaków określa się w badaniach jako osoby wierzące w istnienie Boga i zmierzające do życia wiecznego. Odsetki takich odpowiedzi są frapująco wysokie (93%).

Żyją też w Polsce inni obywatele, ale i wśród nich dominuje religia chrześcijańska – to członkowie kościołów wschodnich (grekokatolicy, prawosławni). Również i ci zmierzają ku Bogu. Jest też grupa pobożnych protestantów (zwłaszcza luteran). Również wyznawcy judaizmu nie rezygnują z celu w postaci dążenia do Boga, podobnie jak wyznawcy islamu (np. polscy Tatarzy). W związku z globalizacją pojawia się u nas wielu wyznawców innych religii, ale i wielu z nich chce być zbawionymi wedle swoich pojęć.

Czy są w Polsce ateści rezygnujący z tego celu? Oczywiście, czasem bardzo aktywni, ale jest ich na razie oficjalnie niewielu. W Polsce postępują procesy laicyzacji i sekularyzacji, zwłaszcza w młodym pokoleniu, ale nadal ok. 40 % ludności regularnie bywa na niedzielnej mszy świętej, jeszcze więcej się modli, czasem dość regularnie.

Jesteśmy nadal wierzącym narodem. Zobaczymy jaki krajobraz wyłoni się po epidemii, ale jestem przekonany, że dążenie do zbawienia wiecznego pozostanie dla Polaków nadal ważne. Może odpadnie trochę „socjologicznych katolików”, kto wie? Ale, o dziwo, nie grozi nam jakiś masowy odwrót od celów religijnych. Jako Polacy zbieramy za to ciągi od ześwieczałych narodów, których drażni nasz sposób życia. Ale nie uginamy się. Wiele razy widziałem, jak tłumnie zjawiali się Rodacy w kościołach poza granicami kraju. Czasem było wręcz tłoczno. W „polskich parafiach” wielkich miast Europy jest to zaskakujące miejscowych zjawisko, ale miejscowi kojarzą już, że Polacy są religijni. Przyszłość zawsze jest otwarta, ale na razie jest jak jest. Wierzmy.

I dobrze. Uważam, że taka postawa jest bardzo racjonalna. Narody, które obrały inną drogę jakoś słabo się odnajdują co do kierunku społecznego rozwoju. Ileż można produkować i konsumować? Widzimy narody syte, ale pogrążone w poczuciu pustki i nawet rozpacz. Bo co robić w tym pustym kosmosie? Heroicznie stawać się „nadczołowiekiem” jak sugerował F. Nietzsche? Wielu próbowało to zaproponować, ale propozycja taka historycznie słabo się sprawdzała. Przed naszymi oczyma rysuje się obraz wymierającej, ledwie żywej Europy, pozbawionej kierunku i wizji rozwoju.

W mojej bibliotece znajduje się szczęśliwym przypadkiem niezwykła książka pewnego jezuitę, filozofa, ks. dr Aleksandra Kisiela. Autor cudem przeżył masakrę przy ulicy Rakowieckiej, gdy Niemcy zabili wiele osób ukrytych w piwnicy tamtejszego klasztoru w 1944 roku. Ukryty pod stosami krwawiących trupów (Niemcy uznali go za zabitego), w nocy wyczołgał się, uciekł i przeżył. Książka, którą napisał była wydana w 1948 roku (jaka archaiczna data do bibliografii, przecież powinno być 2019 przynajmniej!). Jest to praca

zatytułowana „*Ku pełni chrześcijaństwa. Rozważania religijne.*”, wydana przez Wydawnictwo Księży Jezuitów w Warszawie. Znajdujemy tam następujący fragment, który przytoczę w całości, gdyż książka ta jest z pewnością bardzo trudno dostępna.

„Tak będzie wyglądało przyjście ostateczne. Czy nie będzie przed tym żadnego innego? Nie wiemy. Mamy tylko znaki, by rozpoznać zbliżanie się czasów sądu. Otóż patrząc na czasy obecne, można i trzeba stanowczo powiedzieć, że schemat warunków, które zapowiadają nadejście Syna Bożego na sąd, spełnia się w naszych oczach. Wieści o wojnach, walka z głodem, chorobowe epidemie, trzęsienie ziemi jakiego jeszcze nie było (Hiroszima!) spadanie gwiazd z nieba (choć jeszcze nie niebieskich), rozmnożenie się nieprawości do granic ostatecznych, oziębienie miłości Bożej i społecznej, fałszywi prorocy, zgorwienie wielu – oto znaki bardzo niedawnych czasów. Zatem niewątpliwie On blisko jest, we drzwiach. A więc koniec świata? Niewątpliwie tak. Nadchodzi koniec jakiegoś świata. Ale jakiego? Otóż sąd nad Jerozolimą pozwala nam zorientować się w prawach każdego Bożego adwentu. Ponieważ Chrystus do swojej śmierci włącznie był zjawiskiem palestyńskim, więc kara przyszła w wymiarach palestyńskich, skupiona przede wszystkim na stolicy, która ukrzyżowała Syna Bożego. Stąd wniosek: zakres kary odpowiada zakresowi winy. W miarę więc upowszechniania się chrześcijaństwa będzie się też rozszerzał zakres interwencji Boskiej domagającej się sprawiedliwości. Na tej podstawie możemy ustalić rozmiary nadchodzącego, a w części dokonującego się już sądu. W obecnej mianowicie chwili chrześcijaństwo jest zjawiskiem europejskim, tzn. pozostaje w ścisłym związku z cywilizacją europejską i uchodzi słusznie za jej współczynnik. Nadchodzący więc sąd będzie dotyczył cywilizacji europejskiej. Należy też przypuszczać, że jak zburzenie Jerozolimy było zewnętrznym wyrazem końca politycznej historii Żydów, tak zburzenie Europy będzie wyrazem końca jej dotychczasowego prymatu cywilizacyjnego. Chrześcijaństwo stanie się zjawiskiem wszechświatowym. Europa niewymownym bólem i upokorzeniem zapłaci za swój nowożytny brak odpowiedzialności i programowe ignorowanie Chrystusa. Na gruzach dotychczasowej jej cywilizacji wyłoni się nowe życie.”⁸

Cytowany autor nie wieści końca świata jako powszechnej apokalipsy, a jedynie koniec świata jaki znamy i jaki jest nam bliski. Koniec naszej Europy. Gdy Polacy (wtedy jeszcze Polanie, Wiślanie, Dziadoszanie i kto tam jeszcze) wkraczali na widownię dziejów poprzez chrzest swego władcy Mieszka, to ta decyzja była tak doniosła, że wykreowała osobne

⁸ Kisiel (1948), *Ku pełni...*, strona 15-16.

królestwo, *Regnum Poloniae*. Nieco później decyzja o związaniu się z Litwą (w praktyce z częścią Rusi, którą Litwini zagarnęli) rozwinęła ten projekt do rozmiarów mocarstwa europejskiego. I przeżyliśmy swoje „upokorzenie, ból i upadek” wraz z rozbiorami w wieku XVIII. Z trudem odzyskana niepodległość pojawiła się dla nas na progu... upadku Europy, (jak wieszczyl ks. dr Kisiel), w wyniku traktatów po I wojnie światowej. Granice musieliśmy jeszcze czynnie wywalczyć.

Na tym tle upór Polaków w trzymaniu się blisko Boga, w podtrzymywaniu religii i jej zasad jest znamienity. Gdyby pociągnąć sposób myślenia cytowanego autora i oprzeć się na sugestjach biblijnych, to zauważymy, że zazwyczaj klęskom Narodu Wybranego towarzyszyło ocalenie jego części w postaci Reszty, jakiejś części całości, która się Boga nie wyparła i była wierna jego Przymierzu. Czy to możliwe, że jesteśmy taką „Resztą” w odniesieniu do chrześcijańskiej Europy? W jakiejś mierze tak jest, chociaż trzeba być bardzo ostrożnym w formułowaniu tego wymiaru misji Polski. Bardzo łatwo o zwykłą pychę. Dla otrzeźwienia mesjanistów: nasi sąsiedzi uważają nas często za: wiarołomnych zdrajców (Rosjanie), pijaków i złodziei (Niemcy), lekkomyślnych (Czesi), mało nowoczesnych (Szwedzi). Nasze sukcesy gospodarcze czy polityczne (np. powstanie NSZZ „Solidarność”) są pomniejszane, bo w głowie się Europejczykom nie mieści, że mogliśmy, my – głupi i biedni Polacy – coś osiągnąć. A nasza pobożność wydaje się wielu mieszkańcom Europy wyrazem cywilizacyjnego zacofania. A jak się zorientują, że jednak coś potrafimy (np. robić transport czy meble lub dobrą żywność) to się nas.. obawiają.

Dobrze pamiętam pewną sytuację, jaka miała miejsce kilka lat temu, gdy wracałem z konferencji naukowej w Ljubljanie (stolica Słowenii). Specjalnie zorganizowałem to tak, aby móc zagłosować w wyborach parlamentarnych w ambasadzie w Wiedniu (miałem stosowne zaświadczenie pobrane wcześniej). Gdy wracałem wieczorem to już od razu, ku memu zaskoczeniu, zauważyłem w metrze duże billboardowe informacje, że w Polsce wygrał niejaki PiS. Zdziwiło mnie to, że tak błyskawicznie to ogłoszono, że ktoś się tym interesuje w takiej Austrii, która nawet z nami nie graniczy. I od początku zaczęło się tzw. grillowanie Polski, wynikające chyba z obawy. Z obawy, że pokażemy Europie, że można być „zacofanym katolikiem narodowo - konserwatywnym” i coś osiągnąć. Z tego punktu widzenia nasze sukcesy gospodarcze stanowią dla niektórych zagrożenie. Nie tylko w sensie gospodarczej konkurencji, ale również w sensie kulturowym, jako *memento* dla narodów Europy pogrążonych w cywilizacyjnym chaosie.

Obecnie mamy epidemię. Uważnie przeglądam doniesienia mediów światowych na ten temat. Polska pojawia się tam niezwykle rzadko, jakby ktoś ze wstydem chciał ukryć, że początkowo poradziliśmy sobie lepiej, niż większość bogatych państw zachodniej Europy. Jak to możliwe, aby ta „prawie dyktatura” radziła sobie lepiej, niż większość państw bogatych? W chwili, gdy to piszę nasza epidemia jeszcze się w pełni nie rozkręciła, zapewne powiększy się grono zakażonych i zmarłych, ale nasze ofiary to nadal mało w porównaniu z dziesiątkami czy setkami tysięcy w innych krajach, rzekomo lepiej zorganizowanych. Gdy połączyłem się z pewnym włoskim przyjacielem mieszkającym w Rzymie za pomocą komunikatora internetowego, to po prostu płakał, uwięziony nagle w swoim rzymskim mieszkanku z widokiem na Góry Albańskie (dotychczas bardzo mu tego mieszkanka i widoku zazdrościłem). Obrazki z Hiszpanii, z Włoch, z Francji, z Wielkiej Brytanii czy z Niemiec ukazywały coś, co natychmiast przywoływało opis ks. dr Kisiela o końcu Europy. Nagle okazało się, że „ci pobożni Polacy” poradzili sobie znacząco lepiej we wczesnej fazie epidemii. Sądzę, że wielcy tego świata dobrze to zauważyli, a dowodem na to jest uparte milczenie mediów odzwierciedlających linię swoich polityków. Obecnie zaś obserwuje się niezłą organizację procesu szczepień i stosunkowo niskie bezrobocie, podobno najniższe w UE.

Jestem daleki od idealizowania Polski i Polaków. Bardzo często jesteśmy rzeczywiście tymi „rozrabiakami i pijanymi złodziejami samochodów”. Ale wiele obiektywnych wskaźników pozwala na pewien optymizm i zastanawianie się czy czasem nie jesteśmy jakąś biblijną „resztą” dla Europy?⁹ Albo inaczej: czy moglibyśmy podjąć taką misję dla Europy (i dla nas samych - oczywiście)? Dla jej wspaniałej cywilizacji, której najcenniejsze elementy koniecznie powinny przetrwać. Gdy trwała dyskusja nad tzw. konstytucją europejską UE i ewentualnym zapisem o chrześcijańskich korzeniach Europy, to nasi ówcześni rządzący, bez wątplenia lewicowi, optowali za zapisem sugerowanym przez Watykan. Ostatecznie konstytucja upadła z powodu oporu kilku narodów, ale dyskusja wokół tej sprawy była znamieną z punktu widzenia „*finis Europae*” – końca Europy.

Przeżyłem też inne ciekawe doświadczenie przed wielu laty. Byliśmy z rodziną w Rzymie, gdyż specjalnie organizowałem dla mojej gromadki podróże do źródeł Europy (świadomie jako turystyka kulturowa, 11 krajów, bez samochodu, tzw. „backpacking”, wielokrotnie). Postanowiliśmy wtedy odwiedzić mały kościółek pod wezwaniem Świętej Pudencjany, blisko

⁹ W Starym Testamencie prorocy wieszczili, że pomimo zagłady większości Narodu Wybranego pozostanie jakaś Reszta ocalona ze względu na obietnice Boże.

Santa Maria Maggiore. Kościółek jest tak stary, że aż 3 metry poniżej obecnego poziomu ulicy. Są przesłanki, że mógł być siedzibą św. Piotra w Rzymie, a w każdym razie tam nauczał, zapewne również mieszkał, może u senatora Pudensa. Jest tam niezwykle piękna mozaika, jedna z najstarszych w Rzymie, jeszcze w stylu mozaik czysto rzymskich (potem szybko się zmieniały w styl bizantyjski i inne style). Przedstawia Paruzję czyli ponowne przyjście Chrystusa, może zaś królowanie Chrystusa? Różnie można ją rozumieć. Natomiast jest przepiękna, aż widzowi zatyka dech w piersiach. Ale przybyliśmy bardzo późno, kościół był już zamykany. Ponieważ były tam z boku jakieś osoby, jakaś zakonnica, to dopytywaliśmy o możliwość otwarcia go dla nas, na chwilę. Był tam bowiem ośrodek dla katolików filipińskich. Siostra „szefowa” nie była zbyt chętna do momentu, dopóki nie dowiedziała się skąd jesteśmy. „Polonia, Polonia! Giovanni Paolo Secondo!”, entuzjazm. Trzeba było widzieć jej rozpromienienie, gdy wypowiadała te słowa. Kościół natychmiast otworzyła i cały czas się do nas uśmiechała. Żegnaliśmy się czule. Było to dla nas bardzo poruszające. Dla tych Filipińczyków byliśmy reprezentantami tej lepszej, bo nadal wierzącej, Europy.

Kiedys byliśmy często „*antemurale christianitatis*” – przedmurzem chrześcijaństwa. Wtedy to budziło szacunek, bo stała za tym husaria, niezwykle sprawna militarnie. Dziś husarii nie ma, chociaż w 1920 roku podobno ponownie ocaliliśmy Europę przed bolszewikami. Zginął wtedy mój krewny, gdzieś pod Chełmem. No dobrze, przecież walczyliśmy zacięcie z dwoma totalitaryzmami (faszyzm, komunizm) i podobno politycznie je pokonaliśmy (rozpad ZSSR, możliwość zjednoczenia Niemiec). Czy jednak na tym polega nasza obecna misja? Niekoniecznie. **Sądzę, że jej obecnym rdzeniem jest zachowanie czynnej wiary katolickiej.** Do takiej misji się osobiście poczuwam, taką chcę realizować, bez względu na to czy to się komuś w Europie podoba czy nie.

A za „zgorszonych” moją konserwatywną postawą „ateistów, liberałów, masonów czy różnych cyklistów” się modlę, jako członek powołanego w Rzymie przez św. Maksymiliana Marię Kolbego Rycerstwa Niepokalanej (Militia Immaculatae). Członek MI całkiem szeregowy, nic specjalnego. Drodzy ateści! Modlę się za wasze nawrócenie codziennie i szczerze. Uczciwie przyznam, że nie trwają te modlitwy specjalnie długo, nie jestem bowiem bardzo dobrym człowiekiem. Ale skoro św. Maksymilian to zalecił, to czemu nie. Nawet program minimum może mieć znaczenie, może jakiś drobny ateista się dzięki temu nawrócić? Daj mu Boże zdrowie!

Czy pijaństwo może zniweczyć misję duchową Polski? Alkohol a religia.

Inteligentni Czytelnicy już się domyślają, że mój postulat brzmi: trzeźwość wspiera duchową misję Polski. Owszem, tak sędzę. Jednak zanim to wyjaśnię zajmę się czymś innym – jak religia wspiera trzeźwość. Zbyt mało osób orientuje się, że praktyki religijne są jednym z głównych czynników chroniących w stosunku do takiego zachowania, jak używanie substancji psychoaktywnych. Zwłaszcza widać to u ludzi młodych. Słusznie postulujemy ich trzeźwość przez pierwsze dwie dekady życia. W związku z tym prowadzono liczne badania nad tym, co ewentualnie chroni młodych ludzi przed inicjacją alkoholową, nikotynową czy narkotykową. I już w latach 80-tych ubiegłego wieku (Hawkins, Catalano, Miller, 1992) było jasne, że te czynniki to: silna więź z rodzicami, sukcesy szkolne, praktyki religijne, zakorzenienie społeczne i specyficzne umiejętności chroniące. W tym zestawie praktyki religijne zajmują stale wybitne miejsce. Gdy badamy skalę zachowań ryzykownych młodych ludzi, to okazuje się, że jeśli praktykują, to wybitnie i na korzyść różnią się od rówieśników, którzy nie praktykują religijnie (i zazwyczaj nie wierzą). Poświęciłem tej sprawie nawet specjalny artykuł przeglądowy, zresztą jest takich prac sporo, bowiem przez kolejne lata ten czynnik się potwierdził (Grzelak, 2015; Malczewski, 2017; Rew, Wong, 2006). Rozsądni rodzice, którzy dbają o dobro swych dzieci nigdy nie będą ich odsuwać od normalnych praktyk religijnych (ewentualnie powinni eliminować tzw. sekciarstwo). Religia to wybitna ochrona. W Polsce wyraża się najczęściej w postaci np. posyłania dzieci na katechezę szkolną czy ułatwianiu im praktyk. A jeszcze bardziej poprzez praktyki samych rodziców (Wojcieszek, 2016a). Zresztą poparcie rodziców dla uczestnictwa ich dzieci w katechezie jest w Polsce nadal bardzo duże. Trochę gorzej z tzw. dobrym przykładem.

Wpływ religijności (duchowości) na trzeźwość jest jeszcze bardziej widoczny w strukturze programu Wspólnoty Anonimowych Alkoholików (AA). Ich „program pracy” znany jako Program XII Kroków (patrz: Kaczmarczyk, 2008 lub oficjalna strona wspólnoty w Polsce) zawiera wprost odniesienia do Siły Wyższej czyli „Boga jakkolwiek go pojmujemy”. AA nie jest organizacją religijną czy sektą. Jest ruchem, który ułatwia swoim uczestnikom odnalezienie trzeźwości na duchowej ścieżce. W USA wiele grup AA rozpoczyna swoje mitingi recytując tekst Modlitwy Pańskiej (Ojciec Nasz), chociaż my kojarzymy miting raczej z modlitwą Marka Aureliusza „O pogodę ducha”. Mimo to w spotkaniach uczestniczą również.. ateści. Zdarza się to, chociaż nie jest im tam zbyt wygodnie i usiłowali założyć laickie AA. Jakoś nie słychać, aby „laickie AA” to był jakiś spektakularny sukces.

Bez Boga nie da się trzeźwieć w chorobie alkoholowej. Po prostu. Wydaje się, że „zespół uzależnienia od alkoholu” ma istotny składnik duchowy, rodzaj duchowego buntu przeciw Bogu. Stąd nawet najprostszy powrót do „Siły Wyższej”, najlżejszy objaw pokory, otwiera drogę do trzeźwości.

Kilka razy byłem zaskoczony dużą niewiedzą na ten temat ze strony tzw. zwykłych ludzi. Gdy omawiałem temat ruchu AA w moich grupach studenckich, to okazywało się, że niemal wszyscy byli zaskoczeni treścią Programu XII Kroków, a zwłaszcza treściami odwołującymi się do spraw duchowych, do Boga. Wcześniej sądzili, że w AA uprawia się jakiś rodzaj terapii psychologicznej, jakieś rozmowy w grupie wsparcia między alkoholikami i tyle. Czy nie pamiętali dawnego przysłowia polskiego: „Bez Boga ani do proga”?

Jeszcze wyraźniej widać to w propozycji tzw. Wspólnoty Cenacolo powstałej we Włoszech. Jedyna propozycja jaka tam funkcjonuje to modlitwa i praca. Nie ma terapii. A przynosi pomoc młodzieży dotkniętej np. narkomanią. W sytuacjach, w których terapeuci rozkładają bezradnie ręce.

Wielu „ocalonych” twierdzi, że swoją zmianę życia zawdzięczają Bogu. Uważam, że w świetle dostępnych danych można uznać za prawdziwą tezę, że kryzys duchowy leży u podłoża zjawiska uzależnienia od substancji psychoaktywnych, a z drugiej strony aktywne życie religijne wydatnie chroni przed ryzykownymi zachowaniami (aktywny czynnik chroniący). Oczywiście są to skomplikowane sprawy i zjawiska uzależnienia czy pijaństwa nie ograniczają się do spraw duchowych. To byłoby zbyt proste, bo i człowiek jest skomplikowany w swej złożoności. Kiedyś zespół wybitnych i wierzących psychologów (prof. W. Miller) próbował „dostarczać” zagrożonym osobom materiał religijny w nadziei na pozytywne efekty, ale to nie wypaliło. Schemat był zbyt prosty (nawet – prostacki). I ja nie twierdę, że wszystko sprowadza się do prostego „Z Bogiem czy przeciw niemu”. Człowiek i jego sprawy są złożone. Inaczej nie byłoby takich kompromitacji jak duchowni – pijacy, których nie jest tak mało. W większości religii występuje takie zjawisko. Pokazujemy palcem naszych duchownych pijaków (nawet kilku znam osobiście), ale np. kobieta powołana na urząd naczelnego biskupa - pastora luteran w Niemczech po trzech miesiącach zrezygnowała, gdyż złapano ją, jak po pijanemu prowadziła samochód. Była afera, oj była, tym bardziej, że jej powołaniu nadano rozgłos medialny.

W jednym ze wspomnień (Pro Memoria) Kardynał Stefan Wyszyński zapisał przebieg rozmowy z niejakim Bolesławem Bierutem, ówczesnym naczelnym komunistą PRL. Bierut

podobno miał się zgodzić, że szerzy się w Polsce pijaństwo i trzeba przeciwdziałać. Jednak wytknął Prymasowi, że w Polsce dominują ludzie wierzący, zatem większość spirytusu to oni wypijają. Co zatem robi Kościół? Prymas musiał się z nim w tym punkcie zgodzić. Zresztą Prymas podejmował w związku z tym bardzo aktywne działania. Umieścił kwestię zwalczania pijaństwa jako wady narodowej w tekście słynnych i ważnych „Ślubowań Jasnogórskich” z 1956 roku. Energicznie powoływał do życia różne kościelne instytucje do pracy trzeźwościowej. Polska uzyskała wtedy oficjalne „Wytyczne do kościelnej działalności trzeźwościowej”, z jego inicjatywy. I specjalną Komisję przy Episkopacie, której od kilkunastu lat jestem świeckim konsultorem i członkiem. To nas pozytywnie wyróżniało na tle Europy, gdyż mało innych Kościołów pracowało nad tym tak intensywnie, jak my.

Wkład Kościoła w trzeźwość Polaków jest zasadniczy. Można wskazać bardzo wiele akcji, działań, starań wielu wybitnych postaci poczynając od XVII wieku (np. św. Stanisław Papczyński wymagający od swoich zakonników Marianów dodatkowego ślubu abstynencji). Historycy piszą na ten temat opasłe tomy (np. historyk, pan redaktor Marian Romaniuk), a każda z tych postaci daje powody do dumy i podziwu. To autentyczni herosi działań społecznych, często święci Pańscy. Bez tej pracy w Polsce byłoby bardzo, bardzo źle. Pewnie nie byłoby ratunku. Nie znaczy to, że tylko katolicy działali. Swoją wkład mieli w dzieło trzeźwości również socjaliści (np. Maria Moczydłowska) czy filozofowie - wolnomyśliciele (np. W. Lutosławski). Jednak udział takich osób jak: ks. Antoniewicz, ks. Kapica, ks. Częstka, ks. Ficek, bł. Honorat Koźmiński, bł. Bronisław Markiewicz, Czcigodny Sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki czy O. Benignus Sosnowski jest tak znaczny i uderzający, że nie sposób mu zaprzeczyć. Jestem pewien, że bez tej wytrwałej pracy byłoby u nas znacznie gorzej. Przecież w Polsce powstały nawet wyspecjalizowane zakony (służki NPM) do prowadzenia gospód bezalkoholowych. To, że zdecydowana większość Polaków (ponad 80%) to ludzie umiaru lub abstynencji to ich zasługa. Niestety, nie byli w stanie zapobiec powstaniu tej aktywnej „kolumny pijaństwa” w postaci owych kilkunastu procent pijaków (w ich gronie kilku procent alkoholików). To okazało się za trudne. Jednak wysiłek naszych przodków doprowadził do sytuacji, gdy w początkach XX wieku Polska należała – uwaga ! – do najmniej pijących narodów Europy! Nie do wiary, ale to prawda (Zieliński, 1994). Piliśmy zaledwie 10% tego, co dzisiaj! Ok. 1 dcm³ (litr) na głowę rocznie (dziś 10,5 litra). „Popsuliśmy” się w wieku XX. Od lat 30 - tych stale rosło nasze spożycie napojów alkoholowych (Moskalewicz, 1998) . Najsilniej w czasach komunizmu, ale i teraz się nie zatrzymało. Odwrotny trend był tylko przez dwa lata, za pierwszej „Solidarności”. Wybitny

filozof, Stanisław Grygiel, przypisywał to „psucie się” zniewoleniu, jakiemu podlegaliśmy. Bardzo polecam jego studium na ten temat (Grygiel, 1980). Może miał rację, w jakiejś mierze...

Niebo nas chroniło. Nawet bezpośrednio, gdy w Gietrzwałdzie, podczas uznanych przez Kościół objawień maryjnych Matka Boża wyraźnie wskazywała na konieczność trzeźwości Polaków. Modlitwy różańcowej i trzeźwości. Orędzie z Gietrzwałdu było bardzo głośne w Polsce lat 80-tych XIX wieku (1878). Setki tysięcy pielgrzymów udawało się do tego „polskiego Lourdes”, tym bardziej, że Matka Boża dialogowała tam z dwoma dziewczynkami przez trzy miesiące, co dnia.

Zachował się zapis niezwyklej rozmowy z Matką Bożą. Dziewczynki prosiły o różne odpowiedzi z Góry na prywatne zapytania. Maryja cierpliwie odpowiadała. Pewna rodzina była prześladowana chorobami, więc zapytała, czy jej członkowie będą wreszcie zdrowi. Odpowiedź Pani z Nieba brzmiała:

- Tak, będą zdrowi, jeśli będą się modlić i nie będą pić wódki!

W tej rodzinie podobno picie było znaczne. Trudno o bardziej jednoznaczny sygnał z samej Góry. I Polacy się wtedy przejęli. Są tacy, co twierdzą, że masowe przyjęcie przesłania z Gietrzwałdu przyczyniło się do mobilizacji społecznej prowadzącej ostatecznie do odzyskania i obrony niepodległości. Trudno to ocenić, ale efekt społeczny był bardzo wybitny i rozciągał się na całą ostatnią ćwiartkę XIX wieku.

Nie mogę się powstrzymać, aby nie opowiedzieć pewnej anegdoty (i obserwacji zarazem, co mnie usprawiedliwia). Wracając z wykładów w Kaliszu, gdzie jest campus mundurowy mojej uczelni. W pociągu podróżowało kilku mężczyzn, którzy rażno i z zapalem dzielili się wódką. Jak wiadomo, jest to zabronione, ale oni tłumaczyli się, że sam minister zdrowia do tego namawiał jako do... środka przeciw koronawirusowi. Dezynfekowali się od wewnątrz! Byli bardzo niezadowoleni, gdy zwróciłem im uwagę jako obywatel (w pociągu nie wolno spożywać!) i jako specjalista - etanol osłabia działanie układu odpornościowego. Ludzie dużo pijący częściej chorują. Chociaż było ich czterech na jednego, jakoś mnie nie pobili, chociaż wyraźnie chęci do tego im nie brakowało. Takie sobie serdeczne „rodaków rozmowy”. Należę widać do ludzi, co szukają guza, ale jak pisał Boy – Żeleński – *misja paru guzów warta* (patrz wiersz poprzednio cytowany, *Pieśń królowej Jadwigi*).

Zabawne byłoby przełożyć wspomniany dialog maryjny na obecne czasy. Oto nasz zacny minister zdrowia zapytuje Matkę Bożą czy Polacy będą zdrowi. I pada odpowiedź:

- Tak, jeśli nie będą tyle pili. [Tyle i w taki sposób, jak to czynią (niektórzy)].

Jestem przekonany, że obecny minister zdrowia mógł być w Gietrzwałdzie na Warmii, w tamtejszym sanktuarium. A jeśli nie był, to może powinien tam specjalnie pojechać? Jakby go tak tam ściągnąć i powiadomić o tym dialogu dziewczynek z Maryją? Ale w tak ważnej sprawie zapewne Góra może się odezwać w dowolnym świętym miejscu. Zresztą odzywa się, chociażby w postaci różnych listów, raportów i publikacji Konferencji Episkopatu Polski. Polski Kościół nadal w tej sprawie przemawia, jest czynny. Czy działa wbrew woli Boskiej? Zapewne nie. „Co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie..” Nie trzeba spektakularnych objawień, wystarczy zwykłe posłuszeństwo i wiara.

Czy i jak pijaństwo może niszczyć wiarę?

Jeśli zgodzimy się z tezą, że ważną misją Polski jest proste zachowanie wiary religijnej i ewentualne jej przekazywanie dalej, jak marzył św. Maksymilian Maria Kolbe, to trzeba zapytać czy i w jaki sposób pijaństwo może zniszczyć wiarę? Czy zauważamy takie zjawisko? To właściwie główny temat moich rozważań, więc nie będę ukrywał odpowiedzi – tak, pijaństwo niszczy wiarę religijną. Istotne będą jednak argumenty, przesłanki takiego wniosku. Na nich się teraz skupię.

I od razu wskażę na zasadniczą przyczynę – mechanizm takiego zniszczenia. Jest nim „alkoholowe przebóstwienie”. Gdy obserwujemy przeżycia osoby stosującej alkohol etylowy jako narkotyk (czyli znacząco przekraczającej umiar) dostrzegamy, że jej stan psychiczny polega na przeżyciu chwilowej silnej euforii. Pijący odkrywa, że taka prosta czynność pozwala mu na to, czego człowiek pragnie najbardziej – na pozytywną regulację swego samopoczucia. Innymi słowy człowiek na chwilę znajduje się... w niebie, z silną satysfakcją emocjonalną (Mellibruda, Sobolewska – Mellibruda, 2006). Odpowiedzialne za to są wspomniane mechanizmy neurofizjologiczne, „układ nagrody”. Konstatacja, że mogę dowolnie regulować swój nastrój i fundować sobie silną nagrodę emocjonalną sprawia, że człowiek czuje się panem, czuje się jakby... bogiem. Następuje coś, co można nazwać alkoholowym przebóstwieniem lub alkoholowym doznaniem mistycznym. W historii wielokrotnie substancje psychoaktywne odgrywały rolę religijną, pozwalając pobierającym na zmianę świadomości, jakby podróż do innego świata. Podobno do dziś jest w USA legalnie

działający związek wyznaniowy Indian, którego liturgia opiera się na wspólnym zażywaniu substancji halucynogennych z grzyba *Psilocibe sp.* i meskaliny z pewnego gatunku kaktusa. Stany transowe wywoływane były albo specyficznymi czynnościami, albo spożywaniem substancji psychoaktywnych. W Europie wikingowie (zwłaszcza tzw. *berserkerzy*) nie obawiali się przyjmować mieszaniny piwa, wywaru pewnego grzyba zawierającego muskarynę i własnego moczu, aby wywołać stany silnego pobudzenia bitewnego. Ludzkość odkryła w ten sposób aż 50 tysięcy różnych substancji psychoaktywnych. Doświadczenia z tym związane sięgają prehistorii.

Wśród tych substancji alkohol etylowy wydaje się nadal najważniejszy i najbardziej atrakcyjny – tani, raczej dostępny, silnie i wielorako działający. Chociaż trudno nam uwierzyć, że ktoś, kto dużo pije może się uważać za bóstwo, to informują o tym skutki tego doświadczenia. Rosnący egocentryzm i przekonanie, że jest się kimś ważnym. Stosunkowo stałym elementem psychicznego obrazu uzależnienia czy nadużywania jest silnie zaznaczone „ego”. Nie może być inaczej, skoro jest się... bogiem.

Zdarza się nierzadko, że ten element nie poddaje się wstępnej terapii i pozostaje na długo w osobowości osoby uzależnionej już po zatrzymaniu picia. Mając przejściowo władzę nad własnym samopoczuciem używający etanolu (narkotycznie używający) uznaje swoją moc. Jest to stan tym bardziej niebezpieczny, że każdy z nas... chce być bogiem! Gdy odkrywamy naszą osobową naturę dostrzegamy jej wewnętrzną wspaniałość. W Biblii napisano: bogami jesteście (Psalm 82, 6), mało mniejszymi od aniołów (Psalm 8, 6). I owszem, wspomniana wcześniej osobowa natura człowieka domaga się niejako spełnienia w przebóstwieniu. To istotny aspekt religii. I nagle ktoś odkrywa, że nie musi się tak starać, bo już bóstwem... został, skoro potrafi w każdej chwili regulować swój zasadniczy dobrostan, swoje poczucie szczęścia.

A tak się składa, że to „alkoholowe bóstwo” wykreowane przez kolejne kieliszki wódki nie toleruje innych bogów w postaci dostępnej w religiach. Św. Augustyn ujął to, opierając się na własnym doświadczeniu grzechu w wyrazisty sposób: wywyższenie siebie aż do pogardy Boga.

Obserwacje potwierdzają, że wzrost doświadczeń z narkotycznym działaniem substancji (w tym wypadku głównie etanolu) powoduje odsuwanie się danej osoby od Boga, od praktyk religijnych, od wspólnot religijnych. W to miejsce pijak organizuje sobie z innymi podobnymi pseudowspólnotę fałszywego kościoła. Kościół ten ma swoje rytuały, które zdają się

cementować tak powstałe zrzeczenie. Czasami używanie etanolu dzieje się pod przymusem (tzw. towarzyski przymus picia), gdyż ten „pseudokościół” chce się potwierdzać i rozrastać, jest „misyjny”. Przypomnijmy sobie różne sytuacje towarzyskie, zwłaszcza te, gdy ktoś w gronie mocno pijącym odmawiał picia. Karą za abstynencję takiej osoby jest „klątwa” – wykluczenie ze społeczności. Wielu byłoby chętnie nawet abstynentami, ale obawiają się tego wykluczenia. *Anatema sit!* – niech będzie wykluczony. W społecznościach pierwotnych największą karą było i jest wypędzenie z gromady na pustkowie.

Zatem pijaństwo skutecznie podkopuje wiarę. Można się zastanawiać co było w XX wieku pierwsze wśród Polaków – stopniowe osłabienie wiary czy alkoholowa pseudoreligia. W każdym razie opór przed wątkami religijnymi jest wśród pijących bardzo duży. Wielu z nich na trwałe oddała się od religii, w to miejsce korzystając z własnej duchowości psychoaktywnej, z pseudomistyki. W coś wierzyć trzeba, a najlepiej... w siebie! Przecież: człowiek to brzmi dumnie. *„Umiesz liczyć? Licz na siebie!”*

I odwrotnie. Badania, w tym polskie (dr D. Zwierzchowski), ukazują prawidłowość, że szanse na utrzymanie się w trzeźwości po odbyciu terapii rosną na miarę otwierania się danej osoby na aspekty duchowe i religijne ludzkiej egzystencji. Wysnuł taki wniosek z badania ponad 400 trzeźwiejących alkoholików (Zwierzchowski, 2017).

Ciekawie do tego podchodził Czcigodny Sługa Boży ks. prof. Franciszek Blachnicki, wielkiej klasy teolog pastoralny i twórca ruchu oazowego. Uważał wprost, że szatan usiłuje zniszczyć Kościół w Polsce za pomocą małpowania sakramentów, zwłaszcza Eucharystii (Romaniuk, 2000, s. 111-114). Może warto go zacytować?

„Gdy człowiek zetknie się z łaską, staje się lepszy wewnętrznie. Gdy zetknie się z alkoholem staje się gorszy. Owocem działania łaski jest jakby ubóstwienie człowieka, a właściwie należałoby powiedzieć: alkohol satanizuje.” (Romaniuk, 2000, s. 112).

„Szatan kontaktuje człowieka z alkoholem także poprzez cały szereg obrzędów i zwyczajów, które również możemy nazwać antyliturgią lub liturgią szatańską. A te obrzędy pijackie nawiązują prawie zawsze do obrzędów liturgicznych Kościoła.” (Romaniuk, 2000, s. 113)

Zauważmy podobieństwo: ta sama materia pozornego „sakramentu” co w Eucharystii – wino, i skłonność do budowania swego „anty – kościoła” wokół używania etanolu (zgromadzenie, „ekleżja”).

Z kolei Sługa Boży Stefan Kardynał Wyszyński, na którego rychłą uroczystą beatyfikację oczekujemy¹⁰, uważał, że wada pijaństwa jest dla Polaków największym złem, jakby główną przeszkodą w drodze do zbawienia. Dlaczego? Bo Polacy to naród pobożny i otwarty na mistykę. Co z tego, że alkoholową? Zawsze to jakaś religia jest...

Mamy zatem dwie społeczności – powiązany wiarą, nadzieją i miłością prawdziwy Kościół Boży i „anty – kościół”, alkoholowy, inspirowany subtelnie, acz zdecydowanie przez zło (właściwie ostatecznie przez osobowe Zło).

Dlaczego tak się mogło zdarzyć? Skąd ten atak zła na Polskę? Jeśli przyjrzymy się okolicznościom historycznym i pewnym sygnałom z samej Góry, zauważymy, że Pan Jezus jakoś liczy na Polaków. Stąd słynne słowa (warunkowe! warunkowe!) wypowiedziane do św. Faustyny, że Jezus Polskę szczególnie umiłował i że wyprowadzi z Polski iskrę przygotowującą świat na Jego powtórne przyjście, jeśli będzie mu posłuszna. Różnie to jest interpretowane, ale to z Polski wychodzi kult Miłosierdzia Bożego, tu jest światowe sanktuarium tego kultu. Obraz Jezusa miłosiernego, malowany początkowo w Wilnie, stał się najbardziej rozpowszechnionym wizerunkiem Jezusa na świecie. Ostatnio w TV obserwowałem krótką migawkę z wywiadu z prezydentem Brazylii na temat epidemii i w tle dostrzegłem, a jakże, charakterystyczny obraz Jezusa Miłosiernego. W dalekiej Brazylii, u prezydenta¹¹. A na jednej z konferencji naukowych w Poznaniu poznałem wybitną badaczkę z USA, dla której orędzie z Łagiewnik stanowi centrum życia osobistego. Dla wielu ludzi NA ŚWIECIE to jest ważne i składają pewne duchowe puzzle razem: św. Maksymiliana Kolbego i jego promocję Niepokalanej walczącej ze złem świata, św. Faustynę Kowalską – sekretarkę Bożego Miłosierdzia i św. Jana Pawła II, promotora tegoż Miłosierdzia w skali globalnej. Co ciekawe, a mało znane, osobisty spowiednik św. Faustyny, bł. ks. prof. Michał Sopoćko, któremu kult Miłosierdzia wiele zawdzięcza, był zarazem wybitnym działaczem na rzecz trzeźwości. Tak, to się składa w wyraźną całość. Odślania się nasza misja – trwanie w wierze, dzielenia się nią z innymi i aktywne czekanie na moment, gdy Pan przybędzie. Może długie, może krótkie, nie wiadomo. Ale byłoby wspaniale, gdyby Polacy ocalili swoją i innych wiarę. Z jakim wyraźnym smutkiem Jezus zapytuje w Ewangelii czy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie. Jak dobrze byłoby Go pocieszyć, Polacy! Ale ryzyko utraty tego przywileju jest znaczne, badania społeczne ukazują szybką laicyzację w młodym pokoleniu...

¹⁰ Stała się faktem.

¹¹ Nie był to aktualny prezydent Lula.

Na razie walczymy, kultywujemy wiarę, polskie kościoły nie są puste. Gdy kiedyś zapytano w Belgii pewnego polskiego kardynała, co polscy biskupi robią, że ludzie przychodzą na Msze Święte, ten miał odpowiedzieć:

- Jak to co robimy? Dzwonimy!

To piękne. Gdy słyszę dzwony, zaraz mi się przypomina ta przytomna i naturalna odpowiedź. Ale to pytanie padło w miejscu, gdzie kiedyś, jeszcze do niedawna, było jedno z centrów katolicyzmu światowego. W kraju tzw. Beneluxu (Belgia, Holandia, Luksemburg). Z Holandii, w sumie kraju niewielkiego, wywodziło się aż 10 % wszystkich działających na świecie katolickich misjonarzy, Kościół miał niezliczoną ilość organizacji społecznych, a frekwencja na liturgii wynosiła ponad 70% (znacznie więcej, niż obecnie w Polsce). To się rozpadło w ciągu życia jednego pokolenia (lata 60-te). Teraz kraje Beneluxu przodują w praktycznym ateizmie – na liturgii kilka procent parafian, zwykle starszych. Sprzedaje się kościoły, bo nie ma za co ich utrzymać. W ciągu jednego pokolenia! Na moim biurku stoi dość ładna rzeźba św. Dominika Savio. Z napisów na niej wnoszę, że pochodzi z Holandii, to język flamandzki. Skąd ją mam? Ano kupiłem tanio na targu w Sochaczewie. Jakoś żał mi się zrobiło tych figur, które zapewne za darmo pozyskał przedsiębiorczy polski handlowiec, przywiózł i rozłożył na dużej płachcie. Mój św. Dominik miał osobno głowę utraconą w transporcie, ale w domu przykleiłem. Są w Holandii specjalne hurtownie oferujące wyposażenie likwidowanych kościołów. Patrzy teraz na mnie św. Dominik Savio poważnym wzrokiem i pyta: u mnie tak, jak widzisz, a co u was?

No właśnie – co u nas? Przecież wyraźnie widać jaka wielka wojna duchowa tu się toczy, wojna o przyszłość ludzkości. Jak tu się dziwić, że zło sięgnęło po wojnę hybrydową za pomocą alkoholu (i nie tylko). Nie tak dawno pewien mój znajomy profesor prawie się na mnie obraził, gdy mu oświadczyłem, że pijacy to zdrajcy. Strasznie był zły. Może właśnie wchodził na tę drogę? Powiedzieć Polakowi, że jest zdrajcą to straszliwa obraza. Trochę się zastanowiłem i zacząłem sprawdzać. I znalazłem u bł. Bronisława Markiewicza słowa, że ktoś, kto rozpija młodzież jest.. zdrajcą. Zmieniłbym je obecnie na takie: ktoś, kto rozpija siebie, jest zdrajcą. Zdrajcą narodu, który toczy upartą, ciężką walkę o wiarę. I o sens historii. Polska musi być trzeźwa, jeśli ma tę duchową wojnę wygrać. Modlitwa i trzeźwość – tak było w orędziu z Gietrzwałdu. Powiedziane po polsku, choć to był zabór pruski. To miało dotrzeć do nas, teraz.

Cóż zatem, bracia? Co nam czynić trzeba?

Dotarliśmy do kresu zaplanowanej wędrówki. Określiliśmy misję Polski w kilku modelach, poczynawszy od tego najprostszego, materialnego, a na wysokim duchowym „c” skończywszy. W każdym przypadku nasza misja jest zagrożona przez brak trzeźwości, nawet w prostym planie egzystencjalnym. Co możemy zrobić, aby usunąć ten hybrydowy atak?

Najpierw trzeba określić co jest najważniejsze. Najważniejsza jest rezygnacja z promocji pijaństwa w naszej kulturze, zwłaszcza wśród liderów. Nie może być tak, że akceptujemy pijaństwo, jako rzekomo stały akcent polskiej kultury. Tu jest nasza potencjalnie śmiertelna rana, nasza „pięta Achilleś”.

Jej korzenie są gdzieś głęboko w historii, jak choćby w „lekarstwie na kryzys eksportowy”, gdy zaczął się załamywać lukratywny handel polskim zbożem w wieku XVII-tym. Nasi przodkowie poradzili sobie – skierowali to niesprzedane zboże na rynek wewnętrzny w postaci okowity. Inne korzenie leżą w rozmaitych kryzysach, wojnach (np. szwedzkiej), planowych akcjach zaborców (prawdopodobnie głównie Austriacy, Rosjanie bardziej z przypadku, bo sami uwikłani). I w największej próbie XX wieku, gdy usiłowano całkiem nas zniewolić. Skoro mamy tę ranę w kulturze, to co możemy zrobić? Mamy receptę i to bardzo dokładną w postaci tekstu Narodowego Programu Trzeźwości, proklamowanego w 2018. Jestem autorem jego projektu (wrzesień 2017), bardzo ten tekst przemyślałem (krwią serdeczną pisany), uczestniczyłem też w ostatecznej redakcji na przełomie 2017/2018. Tam są całe listy rzeczy do zrobienia, punkt po punkcie, konkretnie, nawet harmonogramy. Wystarczy znaleźć tekst na stronie internetowej. Program, zaprojektowany na 25 lat działań, kończy się trzema hasłami:

- **Nie upijaj się!**
- **Mniej jest lepiej!**
- **A najlepiej wcale.**

To by wystarczyło, ale pisząc te rozważania uznałem, że jest coś jeszcze. Gdyby tak ponownie zapytali: co robić? Co wybrać z tych zapisów Narodowego Programu na dziś?

Jest taka sprawa, być może najważniejsza. Elity. Wystarczyłoby, gdyby kilku najważniejszych ludzi w kraju mocno przejęło się naszą misją i naszą trzeźwością. I zadziałało razem, jawnie i zdecydowanie. Natychmiast działałoby się dobrze. Zobaczmy, jak to elegancko idzie w sprawach epidemii, ile dobrej energii, mimo trudności pozornie nie do

pokonania. Bo w pewnym momencie ktoś zdecydował: działamy, chronimy ludzi. Podobnej determinacji liderów potrzebujemy w sprawach trzeźwości. Jednak wysiłek elit musi mieć wsparcie w ludzie. A lud jest w dużej mierze pozbawiony prawdy o kwestiach alkoholowych. Wystarczyłby jakiś systematyczny program telewizyjny typu „Prawda o koronawirusie”, ale pod tytułem „Prawda o alkoholu” i udałoby się usuwać różne złogi niewiedzy i złej woli wśród ludzi. Naprawdę jesteśmy słabo poinformowani o wielu zasadniczych alkoholowych tematach. Jest co prawda świetny program „Ocaleni” redaktora Porzezińskiego, ale mam wrażenie, że on jest głównie opowieścią o losach osób uzależnionych i członków ich rodzin. To oczywiście bardzo ważne i niezwykle potrzebne, ale... Ale trzeba oświecić nas wszystkich w alkoholowych tematach podstawowych. Uzależnienie to tylko jeden z takich podstawowych tematów.

A zatem ludzie mediów również muszą się pod tym względem zmienić. Nie jest to łatwe, bo tego terenu pilnują jakieś brytany biznesu, sądząc z nieobecności wielu wątków, a z obecności nachalnej reklamy etanolu. Smok biznesu ma zawsze ostre pazury, więc również decydenci się go zwyczajnie boją. Boją się też najbardziej samych wyborców, którzy „lubią sobie wypić, bo alkohol jest dla ludzi”. Znam nastawienie i praktykę naszych elit. Ich barki są zazwyczaj dobrze zaopatrzone w różne alkohole, a polityka uciera się w kontekście znanego sarmackiego hasła „Kochajmy się!” podanego w alkoholowym sosie. Jeśli tzw. klasa polityczna zmieniłaby chociaż trochę swoje obyczaje, których poziom ujawniają czujne tabloidy, to można byłoby mówić o rzeczywistym starcie Narodowego Programu Trzeźwości.

Pisząc „elity” mam na myśli nie tylko czołowych polityków, ale całe elity, o wiele szersze. W każdej grupie elitarnej dostrzegam ten „syndrom czasów saskich”, to upodobanie do korzystania z etanolu i niechęć do szukania rozwiązań. Tymczasem tego rodzaju problemów nie rozwiązuje się łatwo, nie wystarczą standardowe techniki zarządzania. To poważny problem duchowy, wada narodowa. Nawet samo dobre prawo tego samo nie udźwignie. Marzy mi się jakaś ekipa ludzi naprawdę odpowiedzialnych. Czy mam prawo szukać takich wśród np. polityków, skoro mają tak niską ocenę społeczną (jedno z najniżej cenionych zajęć). Kto wie, może jednak... W rankingach są na czele profesorowie czyli klasa do której sam należę. Czy moi koledzy garną się do rozwiązywania polskich problemów alkoholowych? Odpowiedzcie sobie sami. Ja uważam, że tylko bardzo niektórzy. Szkoda...

Gdzie szukać ratunku i mocy? Gdy pewnego razu szwedzki król kpił sobie z dawnego bibliotekarza króla Jana Sobieskiego i wybitnego matematyka, Adama Adamantego

Kochańskiego, ten mu odpowiedział: „*Fortuna variabilis, Deus mirabilis*” czyli „Losy zmienne, Bóg cudowny”. Sprawdziło się, butny król stracił wszystko w wojnie północnej. Tak jak pojedynczy alkoholik musi powierzyć swoje losy Sile Wyższej, tak i my powinniśmy jako naród szukać wsparcia w Bogu. W tej sprawie sami nie damy rady. Bo sami dla siebie jesteśmy przeciwnikami, zmagamy się z sobą. Ponieważ są precedensy (np. ten jeden litr etanolu per capita na progu XX wieku), to moja nadzieja nie gaśnie.

Jestem swego rodzaju minimalistą. Dla mnie ta sprawa jest tak ważna, że wystarczyłaby zupełnie jako ekwiwalent tzw. dobrej zmiany. Przecież mamy do czynienia z etanolem - najgroźniejszą społecznie substancją psychoaktywną (Nutt i wsp., 2010). Nic więcej, tylko to. *Dajenu, dajenu* – już to jedno by starczyło. To nasz „węzeł gordyjski” życia społecznego. Trzeźwy naród zdobędzie wszystko, czego mu trzeba. Nietrzeźwy nie zdobędzie nic, wszystko utraci. I zaśpiewa po pijanemu smętną piosenkę o chacie, co miał złoty róg... Jest jeszcze czas, by zmienić to, co zmienić trzeba. Przecież jeszcze żyjemy. Zatem: wytrwale i cierpliwie, wspólnymi siłami. *Viribus unitis!*

Bibliografia

Anderson P., Baumberg B.(2007). *Alkohol w Europie. Raport z perspektywy zdrowia publicznego*, Wyd. PARPA : Warszawa.

Andrzejewski G. (2018). *Spowiedź polskiego kata*. Wyd. Aktywa : Frampol.

Black C. (1987). *It Will Never Happen to Me: Growing Up with Addiction as Youngsters, Adolescents, Adult*. Ballantine Books.

Cierpiałkowska L., Ziarko M.(2010). *Psychologia uzależnień — alkoholizm*. Wyd. Akademickie i Profesjonalne : Warszawa.

Cook C. (2006). *Alcohol, Addiction and Christian Ethics*. CUP : Cambridge.

Dragan M.(2008). *Doświadczenia traumatyczne a uzależnienie od alkoholu*, Wyd. UW : Warszawa 2008.

Eissenberg J. C. (2016), *More than Meets the Eye: Eye Colour and Alcoholism*, *Missouri Medicine*, 2016, v. 113(2), s. 98–103.

Erikson C. K.(2014). *Nauka o uzależnieniach. Od neurobiologii do skutecznych metod leczenia*, tłum. J. Vetulani. Wyd. UW : Warszawa.

Danielsson A.K., Wennberg P., Hibell B., Romelsjö A. (2012). Alcohol use, heavy episodic drinking and subsequent problems among adolescents in 23 European countries: does the prevention paradox apply? *Addiction*, 2012, v. 101, nr 1, s. 71-80.

Global Status Report on Alcohol and Health 2018, Geneva WHO.

Gogacz M.(2008). *Elementarz metafizyki*, Wyd. Navo : Warszawa .

Grzelak S. [red.] (2015). *Vademecum skutecznej profilaktyki problemów młodzieży*. Wyd. CMPPP : Warszawa.

Grygiel S.(1980). *Alkoholizm a dialektyka pan — niewolnik*, [w:] K. Majdański (red.) *Antropologiczne kategorie trzeźwości. Materiały ogólnopolskiego sympozjum pastoralnego, 20–21 czerwca 1978*, Warszawa 1980, s. 17–109.

Hawkins D. J., Catalano R. F., Miller J. Y. (1992). Risk and protective factors for alcohol and other drug problems in adolescence and early adulthood. Implications for substance use prevention. *Psychological Bulletin*, 1992, 112(1), s. 64–105.

Hussong A., Bauer D.(2008). Telescoped Trajectories from Alcohol Initiation to Disorder in Children of Alcoholic Parents, *Journal of abnormal psychology* 2008, 117(1), s. 63–78.

Kaczmarczyk I. (2008). *Wspólnota Anonimowych Alkoholików w Polsce. Alkoholowe dno i co to znaczy trzeźwieć*”. Wyd. Eneteia : Warszawa.

Kapica J. ks. (1933). *Alkoholizm a miłość bliźniego*, s. 114-121, [w:] *Kazania i mowy, odezwy* (red. E. Szramek), Katowice, ss.378.

Kisiel A. (1948). *Ku pełni chrześcijaństwa. Rozważania religijne.*”. Wydawnictwo Księży Jezuitów : Warszawa.

Litka P., Głuszak G., (2011). *Skompromitować papieża. Nieznane fakty i dokumenty dotyczące Jana Pawła II*. Wyd. św. Stanisława BM : Kraków.

Malczewski A. (2017). Polska młodzież a substancje psychoaktywne. *Świat Problemów*, 2017, nr 4 (291), s. 15–19.

Mellibruda J., Sobolewska-Mellibruda Z., (2006). *Integracyjna psychoterapia uzależnień. Teoria i praktyka*. Wydawnictwo IPZ : Warszawa.

Moskalewicz J. (1998). Polityka społeczna wobec alkoholu w Polsce w latach 1944-1982, Wyd. PARPA : Warszawa, 1998.

Narodowy Program Trzeźwości, red. T. Bronakowski i in. (2018). Signum Magnum : Katowice.

Nutt D., King L., Philips L.(2010). Drug harms in the UK: a multicriteria decision analysis, *The Lancet*, 2010, 6 November, vol. 376, nr 9752, s. 1558–1565.

Raport o stanie zdrowia na świecie 2002.(2003). Analiza zagrożeń, promocja zdrowia WHO, tłum. A. Basaj, Wyd. PARPA : Warszawa.

Rew L., Wong Y. J.(2006). A systematic review of associations among religiosity/spirituality and adolescent health attitudes and behaviours, *Journal of Adolescent Health*, 2006, 38 (4), s. 433–442.

Romaniuk R.P. (red.) (2000). *W trosce o trzeźwość Narodu. Sylwetki najwybitniejszych działaczy trzeźwościowych XIX i XX wieku oraz antologia ich pism*. T. III, Wyd. PARPA : Warszawa.

Salij J. (1983). *Rozpacz pokonana*. Wyd. W Drodze : Poznań.

Wojcieszek K. (2005). *Na początku była rozpacz*. Wyd. Rubikon : Kraków.

Wojcieszek K. (2010). *Człowiek spotyka alkohol*. Wyd. Rubikon : Kraków.

Wojcieszek K. (2016). *Międzygeneracyjna transmisja uzależnienia od alkoholu – przyczyny oraz możliwości zapobiegania*, [w:] Z. Gaś (red.), *Rodzina a profilaktyka zaburzeń w zachowaniu*, Wyd. Innovatio : Lublin, s. 129–146.

Wojcieszek K. (2016). *Nasze dzieci w dżungli życia. Jak pomóc im przetrwać?*. Wyd. Rubikon : Kraków 2016.

Wojcieszek K. (2019). *Propozycja dla Polski: trzeźwość. Studium z zakresu pedagogiki społecznej*. Wyd. Difin : Warszawa.

Wojciszke B. (2009). *Psychologia miłości*. GWP : Gdańsk.

Zieliński A. (1994). Polish culture: Wet or Dry? *Contemporary Drug Problems*, v. 21, s. 329-340. [*Nordisk Alkoholtidskrift*, 1994, v. 5-6, s. 258-263]

Zwierzchowski D. (2017). *Sytuacja psychospołeczna alkoholików utrzymujących abstynencję*. Praca doktorska. Kielce 2017, UJK.